

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VIII

Warszawa, 10 lutego 1952 r.

Nr 6 (324)

DYSKUSJA KONSTYTUCYJNA ROZPOCZĘTA

Przemówienie Prezydenta BOLESŁAWA BIERUTA

Zakończyliśmy pierwszy, wstępny etap prac nad projektem nowej Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Obecnie projekt ten wchodzi na tory dyskusji ogólnonarodowej.

Jakie zadania mamy w tym okresie do spełnienia? Są to zadania niezwykle ważne i odpowiedzialne.

Winniśmy jak najczynniej włączyć się do akcji uświadamiania masom pracującym — jak wielką, przełomową, historyczną treść zawiera w sobie projekt nowej Konstytucji, jakie znaczenie ma on dla całego narodu.

Konstytucja jest dokumentem o zasadniczym znaczeniu, ustala bowiem podstawowe zasady ustroju społecznego i państwowego — zasady, którymi kieruje się naród i państwo. Ujmuje ona prawa zasadnicze w formie niezwykle zwartych, ścisłych, nader zwięzłych artykułów Konstytucji. Podstawowym więc zadaniem dyskusji ogólnonarodowej jest spopularyzowanie, wyjaśnienie najszerszym masom olbrzymiej wagi i rewolucyjnej treści politycznej i społecznej, która zawarta jest w każdym artykule projektu Konstytucji i zwłaszcza w całokształcie tego dokumentu.

Czym jest w istocie swego ten projekt Konstytucji, czym winna stać się dla narodu nowa Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej?

Nowa Konstytucja ma być ujęta w formę powszechnego prawa Wielką Kartą zwycięskich osiągnięć i utrwalonych na zawsze zdobyczy społecznych polskiego ludu pracującego, który stał się rzeczywistym gospodarzem swego kraju, jedynym i wolnym twórcą losów narodu, gwarantem jego rosnącej siły, niezawodną ostoją jego wielkiej przyszłości. W suchych na pozór artykułach projektu Konstytucji zawarty jest w istocie ogólny wynik i bilans wiekowej historii walk klasowych i wyzwolenych polskich mas ludowych,

którym na przestrzeni ostatnich 70 lat przodowała polska klasa robotnicza — walk długich i ciężkich, ale uwieńczonych zwycięstwem. Od rozpaczy walk i buntów chłopskich, od walk najświetlejszych i postępowych ludzi z ciemnotą i reakcją, od Konstytucji 3 maja 1791 r., konstytucji nieureczywistnionej, której pamięć mimo to w ciągu półtora wieku naród czcił jako pierwszy wyłom — nikły jeszcze i niepewny — ale podważający tyranie przywilejów magnacko-szlacheckich — ciągnie się poprzez okres międzywojenny i okres okupacji hitlerowskiej, usłana setkami tysięcy ofiar spośród najlepszych, duża, znojna, pełna bohaterstwa i poświęcenia droga walki o wolność, o prawa dla ludu, o władzę ludu.

Nowa Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stanowić będzie dla narodu Wielką Kartę zwycięstwa w tej walce o wyzwolenie narodowe i społeczne, o zrzucenie kajdan obcej niewoli, o zrzucenie kajdan kapitalizmu, o sprawiedliwość społeczną, o socjalizm.

Naszym zadaniem — członków Komisji Konstytucyjnej oraz wszystkich przodujących działaczy i bojowników społecznych — jest uświadomić tę drogę, tę walkę i to zwycięstwo masom pracującym i całemu narodowi w okresie obecnej dyskusji ogólnonarodowej, aby ta Wielka Karta zdobyczy ludu polskiego stała się ich nieodłączną własnością, aby podniosła na wyższy szczebel ich świadomość narodową i społeczną.

Ponieważ więc projekt Konstytucji w masę, wyjaśnijmy jego wielką, przełomową treść całemu narodowi, aby został przez naród przyjęty jako jego prawo najwyższe — prawo narodu wolnego i zwycięskiego, prawo narodu przekształcającego swe życie i swoją historię w imię pomyślności własnej, w imię pomyślności wszystkich narodów.

Niech nowa Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, przyjęta i zatwierdzona przez Naród Polski, stanie się orężem i sztandarem w dalszej naszej walce o całkowite wyzwolenie człowieka, o utrwalenie pokoju, o zwycięstwo Socjalizmu!

Dyskusja nad projektem Konstytucji Narodu Polskiego otwarta została słowami Prezydenta Rzeczypospolitej. Problem, który dotąd zajmował przede wszystkim grono fachowców, o szerokim wachlarzu poglądów, obecnie został oddany do rozpatrzenia całemu społeczeństwu. Każdy obywatel ma prawo i obowiązek, po rzetelnym zaznajomieniu się z treścią ogłoszonego projektu M. przedstawić Komisji Konstytucyjnej swój sąd, swe wnioski. W ten sposób w ciągu najbliższych dwóch miesięcy projekt Konstytucji będzie przedmiotem ogólnonarodowej dyskusji.

Nowa Konstytucja podaje zasady praworządności, na jakich ma się opierać cały ustroj naszego kraju w okresie budowy fundamentów socjalizmu. Projekt więc nie tylko określa zarys ustroju państwowego, ale także najważniejsze zasady społeczne, które w państwie są powszechnie realizowane. Określa najważniejsze wytyczne nie tylko kierunku w jakim ma się rozwijać struktura ekonomiczna kraju, ale również najważniejsze cele na od-cinku przeprowadzonych reform społecznych, skłania też zarys przyszłego oblicza społeczeństwa socjalistycznego.

Jest więc Konstytucja z jednej strony rejestracją stanu istniejącego, z drugiej strony tworzy ramy rozwoju na przyszłość.

Wczytując się w tekst uchwały, długiego projektu Konstytucyjnego, trzeba widzieć w nim wynik i podsumowanie wszystkich społecznych i gospodarczych osiągnięć Polski Ludowej. Tylko w tym pełnym kontekście sukcesów kilkuletniej pracy nad budową socjalistycznego społeczeństwa, w kontekście obecnego układu sił społecznych można właściwie i realistycznie ocenić znaczenie tego aktu.

Z drugiej strony Konstytucja jest nie tylko utrwaleniem zdobyczy, ale także jest pełną rozmachą perspektywą na przyszłość. Dyskusja konstytucyjna zatem powinna nie tylko przynieść powszechnie zaznajomienie się z tekstem i ewentualne wniesienie wniosków, ale także pogłębienie stosunku obywateli do państwa przez zrozumienie historycznych procesów w jakich żyjemy. Jesteśmy przekonani, że to pogłębienie świadomości obywateli skłoni wyzwoły nowe sily społeczne i pobudzi twórcze uczestnictwo obywateli w życiu zbiorowym.

Wśród postanowień nowej Konstytucji istnieje punkt specjalnej wagi dla Kościoła i katolicyzmu polskiego: formalna pozycja Kościoła Katolickiego w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, sprawa wolności sumienia i praw do głoszenia publicznie zasad Wiary katolickiej, perspektywa społecznej aktywności katolików. Zarządzenia te zostaną na naszych łamach z największą uwagą omawiane. Obecnie podkreślamy tylko, że zagadnienie stosunków Kościoła i Państwa jak dotychczas tak i na przyszłość jest zadaniem zobowiązującym do obustronnego wysiłku realizacyjnego. Konstytucja nie uchyla Porozumienia z dnia 13 kwietnia, które pozostaje nadal wzorem i pre-cedensem o powszechnym nie tylko polskim znaczeniu.

Poprzedzając tym krótkim wprowadzeniem szereg bardziej szczegółowych wypowiedzi na temat nowej Konstytucji, wyrażamy głębokie przekonanie, że nowe ramy ustrojowe stwarzają szerokie perspektywy rozwoju i że powszechna dyskusja przez pogłębienie świadomości społecznej umożliwi pełne wykorzystanie sił niezbędnych do sprostania stojącym przed nami historycznym zadaniom.

Ignacy RUTKIEWICZ

Biskup Ancel ostrzeża

EPOKI I środowiska, w których zetraca się proporcja, jaka winna istnieć między rzeczywistą troską o poszerzenie świata chrześcijańskiego a inną bardziej istotną troską o prawdziwą głębię wewnętrznego życia duchowego — objawiają znamiona głębokiego kryzysu moralnego. Ustroje państwowe, w których przymiotnikiem „katolickim” szafuje się nadmiernie, nie są ustrojami rzeczywistości katolickimi, jak tego dowodził wbrew wszelkim nie-istotnym pozorom przykład Hiszpanii Franco, Portugalii Salazara czy Francji Vichy Pétaina. Przykład ten dowodzi zarazem, że w dzisiejszym świecie wszelka idea krucjaty, krucjaty militarnej, zdradza tę ideę, pod którą się podszyć usiłuje.

I dlatego to, jeśli dzisiaj obserwujemy, jak wśród chrześcijan zachodnio-europejskich krzewi się przekonanie, że nowy ład społeczny zagraża podstawom chrześcijaństwa i że wobec tego jedynym rozwiązaniem trudności jest jakaś nowoczesna krucjata antykomunistyczna — to niesposób oprzeć się myśli, że jesteśmy świadkami takiego właśnie kryzysu w chrześcijaństwie. Dalecy przy tym jesteśmy od myśli, że tę ideę krucjaty inspirowały tylko katolicy, albo właśnie katolicy, ale nie ulega niestety wątpliwości, że oni to, nasi bracia w Kościele Chrystusowym, w tej akcji, tak mało chrześcijańskiej, dają się zbyt łatwo wykorzystywać. Atmosfera nieuniknionej wojny, psychoza konieczności wojny — rozrasta się w miszczańskiej Europie Zachodniej, a nie zawsze głos tych chrześcijan, którzy starają się jej przeciwdziałać, jest dostatecznie mocny.

Szaleńcza myśl wojny prewencyjnej, lansowana niewądnacznie od dłuższego czasu przez rządzące czynniki USA. Tym silniejszy powinna budzić opór

ze strony prawdziwych wyznawców nauki Boskiego Zbawiciela. Aby nie być gołosłownym, może nie od rzeczy będzie w tym miejscu przytoczyć fragmenty z zamiennego dokumentu, opublikowanego przez część prasy francuskiej w początkach grudnia r. ub. Mam tu na myśli proponowane przez delegata USA na rzymskiej konferencji przedstawicieli państw, sygnatariuszy Paktu Atlantyckiego, dwa znamienne aneksy do tekstu tegoż Paktu. Jeden z nich brzmi następująco: „Jeśli jeden z członków Paktu Atlantyckiego zostanie zagrożony przez potencjalnego przeciwnika, albo jeśli dadzą się zaobserwować oznaki, że ten przeciwnik przygotowuje się do ataku na jeden czy kilka krajów Paktu Atlantyckiego, kraje te zagrożone w ten sposób mogą uprzedzić atak opanowując terytorium, na którym nieprzyjaciel koncentruje swe wojska”.

Uzupełnieniem tego miałby być aneks drugi: „W wypadku wojny lub w niektórych innych wypadkach, np. w razie grożącego napadu ze strony nieprzyjaciela lub pod presją pewnych okoliczności, które określi się później, władza wykonawcza (sc. w ramach współpracy politycznej i wojskowej krajów Paktu Atlantyckiego — przyp. I. R.) może być czasowo przeniesiona z Rady Atlantyckiej na jedno z państw — członków Paktu, przy czym to przeniesienie władzy musi być uważane przez inne państwa członkowskie za obowiązujące”.

Prasa francuska podaje, że propozycje powyższe zostały odrzucone przez przedstawicieli innych krajów Paktu Atlantyckiego, a szczególnie gorący protest wnieśli delegaci Islandii. Okoliczność ta jednak nie może rozwiązać naszego niepokoju. Zbyt dobrze pamiętamy, jak to jeszcze przed

kilkoma miesiącami oficjalny przedstawiciel rządu francuskiego deklarował, że Francja nigdy nie zgodzi się na tworzenie armii niemieckiej, a przynajmniej na tworzenie większych jednostek. Obecnie Pleven stał się jednym z ojców nowego Wehrmachtu! Znamy zbyt dobrze metody nacisku politycznego i ekonomicznego, wywieranego przez rząd USA na rządy państw Zachodniej Europy, abyśmy mogli być pewni, że rząd Trumana nie powtórzy odrzuconych propozycji i że przy pomocy takiej czy innej presji nie zmusi rządów krajów Paktu Atlantyckiego do przyjęcia postulatów wojny prewencyjnej. Określenie tego „nieuchronnie grożącego niebezpieczeństwa” będzie zależało od arbitralnej i jednostronnej decyzji pana Achesona czy generała Eisenhowera.

JEDNYM z najgłośniejszych, najbardziej stanowczych i najbardziej kompetentnych głosów protestu przeciw tej opłacznej idei krucjaty antykomunistycznej, jakie podniosły się ze strony przedstawicieli świata chrześcijańskiego na Zachodzie Europy, była z pewnością wypowiedź Mgr Ancel, biskupa-sufragana u boku Prymasa Francji kardynała Gerlier, opublikowana w końcu roku ubiegłego w znanym tygodniku katolickim Francji południowej — „L'Essor”.

Nie dysponujemy pełnym tekstem wypowiedzi Mgr Ancel, a zresztą trudno byłoby cytować ją w całości. Wydaje się jednak, że kilka cytatów potrafi nas dostatecznie jasno i niewądnacznie zorientować w jej charakterze. Mgr Ancel powiada po prostu: „Ktokolwiek rzeczywistość pragnie, aby Amerykanie wszczęli wojnę prewencyjną przeciw Rosji komunistycznej, znajduję się w stanie grzechu. Zgrzeszył on śmiertelnie prze-

ciwko piątemu przykazaniu: Nie zabijaj!” „...Cóż pomyślelibyście — pisze Mgr Ancel — o kimś, kto powiedziałby do swego przeciwnika: Jestem pewny, że chcesz mnie zabić. Zatem lepiej będzie, gdy ja cię zabiję! — Skąd ta pewność? Tylko stąd, że ów ktoś lęka się swego przeciwnika lub nienawidzi go. To samo w płaszczyźnie międzynarodowej...” Mgr Ancel nie ucieka w sferę rozważań abstrakcyjnych: „...Mówmy konkretnie: przypuśćmy, że Francja jest związana traktatem militarnym ze Stanami Zjednoczonymi. Co powinni uczynić Francuzi, jeśli by Stany Zjednoczone wywołały wojnę prewencyjną przeciwko Rosji? Odpowiedź narzuca się sama: traktat ten siłą faktu stałby się nieważny. Nie przedstawiałby już żadnej wartości. Traktat bowiem staje się nieważny, gdy staci w sprzeczności z prawem moralnym...” (podkreślenie moje — I. R.)

W takim razie sprawa jest jasna: „Francja nie tylko nie byłaby, w takim stanie rzeczy, związana traktatem, lecz nie miałaby prawa (podkr. moje — I. R.) iść razem ze Stanami Zjednoczonymi. Jeśli by przez wierność temu traktatowi weszła ona w wojnę prewencyjną, stałaby się *zbrodniarzem wojennym* (podkr. moje — I. R.). A zatem konkluzja ostateczna jest również, zdaniem Mgr Ancel, bezsporna: „...ponad wszelką dyscypliną jest prawo Boga” ... obywatele Francji w takiej sytuacji nie mieliby prawa słuchać swego rządu... „Trzeba, by rząd wiedział, iż nie znajduje posłuchu, jeśli wywoła wojnę prewencyjną!”

WYPowiedz Mgr Ancel — jak to było przewidziane — wywołała we Francji niesłychaną burzę. Wiemy przecież, do jakiego stopnia ambasada amerykańska w Paryżu sprawa (Dokończenie na str. 2)

wuje kontrolę nad życiem politycznym i społecznym dzisiejszej Francji. Nieśmiała afera „Le Monde” dowiodła tej bardzo daleko posuniętej ingerencji dyplomatów amerykańskich nawet w bardzo wewnętrzne sprawy tego kraju. Dlatego też stanowczy i energiczny głos biskupa Ancel wzbudził takie niezadowolenie u tych wszystkich, którzy krzykliwą kampanią na rzecz tak mało chrześcijańskiej krucjaty antykomunistycznej usiłują pokryć własny lęk przed egzaminem swego sumienia.

Dziennik „L'Aurore” w artykule p. Bénazet — zażądał wręcz zdezawuowania wypowiedzi Mgr Ancel przez samego papieża P. Bénazet posunął się nawet do określenia wystąpienia Mgr Ancel jako „niedorzecznego”.

Reakcja skrajnie konserwatywnego „Figaro” została wyrażona w formie „bardzo oględnej”. Pozornie nawet redaktorzy tego pisma aprobowali za-

sadniczy ton wypowiedzi biskupa Ancel, usiłując wykazać tylko, że brak jej dostatecznej precyzji pojęć i że wobec tego wprowadza ona pewne niepotrzebne zamieszanie. Oświadczono na łamach tego pisma, że istotnie „byłoby rzeczą sprzeczną z prawem moralnym zaatakować jakieś państwo z tej tylko racji, że staje się ono zbyt potężne”, ale z drugiej strony przewidziano, że w pewnych wypadkach wojna prewencyjna staje się tylko środkiem obrony, którego zastosowanie może być dla „zagrożonego” państwa niezbędne. Komentując tę pozornie zupełnie poprawną opinię pisma „Le Figaro”, Pierre Debray pisze na łamach „Action” — „Kto więc, jeśli nie ten, który wszczynają wojnę, ustali, że postawa jakiegos obcego państwa może wykazywać ukryty zamiar doprowadzenia do zbrojnego konfliktu? Oto jesteśmy zdani na najzupełniejszą sa-

(Dokończenie ze str. 1)

mowolę. Wilk zawsze potrafi, jak nas o tym poucza bajkopisarz, utrzymać, że jagnię niepokoi go u wodopoju”.

OCZYWISZCIE nie koniec na tym. Sam minister spraw zagranicznych Francji, Rober Schuman, uznał za stosowne zająć się tą sprawą. Rzecz prosta, nie dał swego nazwiska, ale nie ulega żadnej wątpliwości, że z jego to inspiracji „pewien wyższy funkcjonariusz Quai d'Orsay” (francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych) opublikował w „Le Monde” list, w którym wyraził swoje zdanie o wystąpieniu Mgr Ancel. Naturalnie względy kurtuazji nie pozwoliły autorowi tego listu zaatakować otwarcie też biskupa Ancel, aczkolwiek wydaje się, że tylko wówczas byłby on dostatecznie konsekwentny w stosunku do faktycznie prowadzonej przez rząd francuski polityki zagranicznej. Nasz anonimowy komentator wypowiedzi Mgr Ancel postąpił w sposób wysoce dyplomatyczny (noblesse oblige: nie darmo jest on „wysokim funkcjonariuszem Ministerstwa Spraw Zagranicznych”), bo posłuchajcie tylko.

Na samym wstępie swego listu ów bliski współpracownik min. Schumana oświadcza, że jest on „...w najzupełniejszej zgodzie z Mgr Ancel co do poglądu, że wojna prewencyjna nie jest moralnie uzasadniona, ale... i odtąd zaczyna się faktyczny atak na te pozycje ideowe, które zajął w swym pięknym wystąpieniu Mgr Ancel. Naszemu dyplomacie, jak to trafnie podchwycił P. Debray, nie podobają się szczególnie następujące tezy tej odważnej wypowiedzi. Po pierwsze, że państwo wszczynając wojnę prewencyjną powinno być nazwane zbrodniarzem wojennym, po drugie, że pakt przymierza, który by pociągnął za sobą przystąpienie do wojny prewencyjnej, traci swe znaczenie i staje się nieważny, po trzecie wreszcie, że nikt nie ma prawa słuchać rządu, który chciałby — swój naród wciągnąć w wojnę prewencyjną. Zdaniem tego pana opinię Mgr Ancel trzeba koniecznie uzupełnić następującym zastrzeżeniem. Potępienie wypływające z wypowiedzi Mgr Ancel można odnieść tylko do takiej sytuacji, w której jakieś państwo „wszczynają wojnę przeciw innemu państwu bez żadnej prowokacji z jego strony, pod tym tylko

pretekstem, że sam fakt istnienia tego państwa stanowi dlań niedopuszczalne zagrożenie... oraz, że prowadzi tę wojnę z zamiarem zniszczenia drugiego państwa”. Słowa to niezaprzeczalnie piękne i giadkie, ale zagadnienia nie tylko nie wyjaśniają, lecz na odwrót gmatwają je w sposób niesłychany. Rzecz w tym, iż — jak to słusznie podkreśla Pierre Debray — „wie się zbyt dobrze od czasu incydentu z depeszą emską, która wywołała wojnę z r. 1870, że dyplomaci potrafili świetnie, w razie potrzeby, stworzyć wszystkie „prowokacje”, jakie się okazały potrzebne”. Wynika stąd jasno, że owa wysoce „dyplomatyczna” wersja ataku na wystąpienie Mgr Ancel — wystąpienie to faktycznie przekreśla, naturalnie tylko w intencjach autorów i wykonawców tego ataku, natomiast w świetle nauki Kościoła jest równie jak i tamte, mniej utemperowane, bezpodstawne.

ZACYTUJMY tu za Debray'em kompetentną opinię wydanego w r. 1935 katolickiego „Małego podrecznika zagadnień współczesnych” (Petit Manuel des questions contemporaines) — „...zł wszystkich wojen jest tak straszne, a dzisiaj szczególnie wojna może rozprzestrzenić się tak łatwo, że narody mają obowiązek miłości i roztropności powstrzymać, o ile tylko można, wojnę i narzucić w miarę swych możliwości, przy pomocy środków wyłącznie uciążliwych, pokojowe rozwiązanie konfliktu”.

Przypomnijmy sobie, bodaj tylko fragmentarycznie, opinie wybitnych teologów i Ojców Kościoła, wypowiedziane przez nich na temat wojny i jej etycznej oceny. Oto św. Cyprjan, męczennik z r. 258 powiada: „Zabójstwo dokonane przez zwykłego obywatela jest zbrodnią, nabiera ono charakteru cnoty, skoro dokonane zostaje w imieniu państwa. Zbrodni zapewnia bezkarność nie uznanie niewinności, lecz wielkość okrucieństwa”. Bolesną ironią, przebijającą w tych słowach, mówi bardzo wiele, co Kościół sądzi o owej zbrodni, nabierającej znamion „cnoty”. Dość tu — trzeba — nieprzypadkowo zbliżyć opinię św. Augustyna: „Nieś wojnę do sąsiadów, aby następnie posuwać się z kraju do kraju, niszczyć i podbijać, li tylko przez ambicję, niewinne ludy, jakże trzeba to nazwać, jeśli nie jakimś ogromnym rozbojnictwem?”

Znane jest rozróżnienie, stosowane w tradycji Kościoła, wojen spr-

wiedliwych i niesprawiedliwych. Sw. Tomasz z Akwinu precyzuje trzy warunki wojny słusznej, sprawiedliwej: musi być ona wypowiedziana przez suwerennego władcę za przyczynę mieć musi pogwałcenie prawa, wreszcie powinna być prowadzona w sposób humanitarny. Rozwińmy tę definicję.

Warunek pierwszy — wypowiedzenie wojny winno nastąpić w drodze decyzji suwerennego władcy — co we współczesnym kontekście ustrojowym znaczy, że wojna musi być aprobowana przez cały naród (O. Valensin „Traité de droit naturel” — 1925) Wojna, której przeciwna jest większość członków społeczeństwa, nie może być zatem wojną słuszną. Ale to jeszcze nie wystarczy.

Przyczyną wojny słusznej — powiada św. Tomasz — musi być pogwałcenie prawa. Już hiszpański dominikanin, znakomity teoretyk prawa międzynarodowego, Franciszek de Vittoria (1480) głosił, że „jedyną przyczyną słusznej wojny jest pogwałcenie prawa”, a nie różnice wiary czy chęć pomnożenia potęgi państwa. A cóż to jest owo „pogwałcenie prawa”? Opinie teologów do tytułu tego punktu, jak to stwierdza nie bez racji P. Debray, dość znacznie odbiegają od siebie. Z biegiem czasu polecie to zdaje się zacieśniać, zważać Mgr Ancel w swym wystąpieniu potępił wojny interwencyjne. Sw. Augustyn wyraził to kiedyś słownie: „wojna sprawiedliwa może mieć za cel jedynie naprawienie szkody”. A współczesny teolog, cytowany już O. Valensin stwierdza: „wojna obronna zakłada pogwałcenie prawa, pociągające szkodę proporcjonalną do tej, jaką przyniesie wojna”.

Teraz już jesteśmy bliżej konkluzji Mgr Ottavianiego, asesora Sw. Oficjum, który w swym „Traktacie prawa kanonicznego” wypowiedział pogląd, że w czasach, kiedy środki masowej zagłady zdolne są spowodować straszliwe zniszczenia, nie można już mówić o wojnie sprawiedliwej. Wojny „eksterminacyjne”, te które przy pomocy nadużycia środków zagłady prowadzą do rzezi, nie stojących w żadnej proporcji do jakiegokolwiek rozsądnego celu ludzkiego, nie zasługują na to, aby były traktowane jako zjawisko społeczne. Są to katastrofy kosmiczne.

Ignacy Rutkiewicz.

POROZMAWIAMY

Drogi Przyjacielu

Oczywiście, ma Pan rację. Kontakt między redakcją a czytelnikami to niezwykle cenna rzecz. Ma Pan również rację, twierdząc, że kontakt ten nie może być jednostronny i polegać na tym tylko, że co pewien czas ktoś będzie wypowiadał się listownie, nie otrzymując z naszej strony żadnej odpowiedzi i żadnych wyjaśnień. Jest też niewątpliwie naszą winą, że już od dawna kontakt ten stał się jednostronny. Z uwagą czytaliśmy każdą wypowiedź, każdą ocenę, ale reagowaliśmy na nie przeważnie pośrednio, poprzez tematykę i dobór argumentów wypowiedzianych w naszych artykułach.

Z nowym rokiem trzeba podejmować nowe zobowiązania. Zgodnie z Pana sugestią — chcemy więc otworzyć rubrykę, służącą wymianie poglądów między nami i naszymi czytelnikami na wszystkie interesujące ich tematy.

Panu też, panie Andrzeju, należy się oczywiście pierwszeństwo, skoro Pana inicjatywa skłoniła nas ostatecznie do zrealizowania zamierzeń, które dotąd przebywały w sferze tak zwanych „dobrych chęci”.

Słowa uznania cenimy bardzo. Są nie mniej potrzebne niż słowa krytyki, gdyż redaktor w swej pracy potrzebuje nie tylko surowej oceny wad, wątpliwości, niejasności, związanych z tematyką naszego pisma, ale potrzebuje także potwierdzenia, jeśli „Dziś i Jutro” zajmie w jakiejś sprawie stanowisko, naświetli jakiś problem w sposób dla naszych czytelników przekonujący, nowy, pogłębiający.

Nie chcielibyśmy jednak, by nasi przyjaciele sądzili, że celem tych rozmów będzie przechwalanie się. Dziękując za serdeczne słowa zachęty, przepraszamy więc, że przejdziemy od razu do tego, co w Pana wypowiedzi wnosi akcenty krytyczne.

Pisze więc Pan do nas: „Całkowicie odpowiada mi postawa Waszego pisma. Nie ogranicza się ono do zagadnień teoretycznych. Nie zajmuje się wyłącznie problematyką filozoficzną i religijną. W licznych artykułach daje mi obraz tego, co się wokół na świecie dzieje. To jest potrzebne. Myślę jednak, że niepotrzebnie idziecie po tej linii za daleko. Po cóż bowiem, jako pismo katolickie, zajmujecie się wypowiadaniem poglądów politycznych. Czy nie powinniście się zająć przede wszystkim faktów, na podsuwanie czytelnikom materiału do oceny? Niech każdy z nich sam sobie sąd wyrabia”. Dalej jeszcze wyraża Pan swój pogląd na samą politykę — zajęcie nie chrześcijańskie, problematyka nie mająca w gruncie rzeczy nic wspólnego z katolicyzmem.

Odlóżmy na kiedy indziej dyskusję nad definicją polityki. Powiedzmy na razie tylko tyle, że politykowanie to czynny udział w tej dziedzinie aktywności ludzkiej, która zajmuje się interesami otaczającej nas społeczności. Udział w życiu publicznym może zarówno dotyczyć spraw obchodzących nawet całą ludzkość, ale i również spraw dotyczących naszej gminy, dzielnicy czy nawet bloku. Wszystkie te problemy w jakiś sposób łączą się w całość, którą wyraża tak ustrój państwa, w którym żyjemy, jak i kierunek polityki naszego rządu, poczucie odpowiedzialności za przyszłość i właściwą linię rozwoju naszego narodu, za właściwe stosunki między narodami, za istnienie lub brak sprawiedliwości społecznej w dzisiejszym świecie. Dokładne przemyślenie okoliczności towarzyszących naszemu udziałowi we wspólnych troskach życia publicznego, nawet na najskromniejszym odcinku, musi niechybnie wskazać nam, że nie wyrabiamy sobie opinii w sprawach ogólnopolitycznych — pozostajemy bezradni, chwiejni nawet w sprawach drobnych. A być może nawet, że nie mając wyrobionej opinii w sprawach ogólnych — błędnie ocenimy jakąś dziedzinę nam najbliższą, jak na przykład — czy istotnie kontrakcja bydła jest dziś dla naszego społeczeństwa sprawą żywotną, lub gdzie szukać właściwych przyczyn trudności, jakie rzucają się w oczy na odcinku komunikacji miejskiej w stolicy!

Katolik ma oceniać świat z punktu widzenia obowiązującej go moralności. Wszyscy się na to, panie Andrzeju, jak najbardziej zgadzamy. Ale jak on go może osądzać, jeśli go nie zna? Czy może oceniać słuszność lub niesłuszność polityki nacjonalizacji, gdy nie wie, poza powierzchownymi spostrzeżeniami, o sytuacji gospodarczej własnego kraju? Czy potrafi ocenić moralność czy niemoralność akcji pokojowej, gdy nie zna mechaniki rozszerzającego się dziś na świecie konfliktu?

Czy my podsuwamy gotowe poglądy? Nie. My przedstawiamy przy różnych okazjach całe nasze rozumowanie, cały proces dochodzenia do pewnych sądów o sprawach politycznych po to, by każdy z naszych czytelników mógł się nad poprawnością tych sądów zastanowić. Rzecz prosta mówimy i piszemy o tym, co nam się wydaje słuszne po możliwie najstaranniejszym zbadaniu danej sprawy. Polityka, tak jak każda dziedzina życia ludzkiego, nie może być obca zainteresowaniom katolików. W tej dziedzinie, jak i w każdej innej, muszą mieć katolicy własne zdanie i własną postawę. Jest naszym obowiązkiem pomagać czytelnikom w zgłębianiu także i tych problemów.

O to się też staramy.

Z nadzieją, że się przy okazji na tych łamach spotkamy — przesyłam przyjacielski uścisk dłoni.

W. K.

STATNIK POLITYCZNY

Egipski zamach stanu

Nagle udzielenie przez króla Faruka dymisji gabinetowi przywódcy wafdystów Nahas Paszy jest zgodnie komentowane jako skutek „trwałej akcji” ambasadora USA w Kairze Caffery. Konsekwentne dążenie bloku anglo-amerykańskiego do wciągnięcia Egiptu do agresywnego paktu Środkowego Wschodu znalazło swe częściowe ukoronowanie bezpośrednio po wielkiej antybrytyjskiej manifestacji, jaka miała miejsce w stolicy Egiptu w dniu 26 stycznia.

Nowy egipski premier Maher Pasza w wywiadzie udzielonym kairskiemu korespondentowi „News Chronicle” w sposób niedwuznaczny zakomunikował, że „jest gotów przedyskutować sprawę dowództwa Środkowego Wschodu z czterema mocarstwami”. Te cztery mocarstwa, to jak wiadomo W. Brytania, USA, Francja i Turcja — których propozycje były swego czasu odrzucone przez rząd Nahas Paszy.

Co skłoniło króla Faruka, znane ze swej wrogoci do Brytyjczyków, do tak zdecydowanej zmiany dotychczasowego kursu polityki Egiptu? Odpowiedź może być tylko jedna. Egipski monarcha w porę dla swoich interesów dynastycznych dostrzegł rewolucyjne,

antyfeudalne oblicze egipskiego ruchu narodowego — wyzwolitego. Faruk rozumiał, że ten sam lud Egiptu, który powstaje przeciw brytyjskiej hegemonii z dnia na dzień może zwrócić swój patriotyczny odruch buntu przeciw ustrojowym przeżytkom. Ambasador USA interweniował dosłownie na 5 minut przed dwunastą. W niedzielę 27 stycznia zapowiedziano bowiem posiedzenie gabinetu Nahas Paszy, na którym według ogólnych przewidywań miało nastąpić zerwanie stosunków dyplomatycznych z Wielką Brytanią. Dlatego też wielka antybrytyjska manifestacja w Kairze została, jak podaje korespondent „Prawdy” zainscenizowana przez Amerykanów w przeddzień tj. w sobotę 26 stycznia. W manifestacji tej wzięło udział kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców stolicy Egiptu. Demonstranci domagali się zerwania stosunków z Wielką Brytanią i rozpoczęcia przez armię egipską akcji przeciw wojskom brytyjskim. Oczywiście agencje zachodnie w swych sprawozdaniach z demonstracji nie omieszczały podnieść proradzieckich okrzyków manifestujących tłumów. W rezultacie ambasador USA zyskał „przekonywający” argument w rozmowach

z królem Farukiem. Premierem został dr Ali Maher Pasza, znany ze swych proniemieckich i pro włoskich sympatii z okresu II Wojny Światowej. Gwoli pikanterii warto dodać, że ten sam Maher Pasza w okresie wojny był internowany na życzenie Anglików właśnie z powodu tych sympatii. Tym łatwiej rozumiemy dlaczego właśnie na jego osobę padł wybór króla Faruka. Antybrytyjsko nastawionej opinii Egiptu propaganda oficjalna będzie obecnie starała się wmówić, że kurs antybrytyjski zostanie utrzymany. Fakty jednak zdają się świadczyć o czymś wręcz odwrotnym. Oto przed kilku dniami król Faruk przyjął po raz pierwszy od 1936 r. ambasadora brytyjskiego a Eden oświadczył w Izbie Gmin, że „Wielka Brytania jest gotowa przeprowadzić rewizję traktatu z Egiptem z r. 1936”. Nawet odsunięty od władzy lecz dysponujący większością w parlamencie Nahas Pasza zastraszone ewentualnością rozwiązania parlamentu postanowił poprzeć nowy gabinet. Przykład Egiptu jaskrawo dowodzi znanej prawdy społecznej, że klasa uprzywilejowana postawiona wobec wyboru między interesem narodu a własnym stanem posiadania — niemal z reguły zdradza naród.

Józef PIEPER

tłum. Z. L.

O ŚW. TOMASZU Z AKWINU

KAŻDY, kto przeczytał przynajmniej jeden rozdział z ksiąg św. Augustyna, choćby to był rozdział najmnij przejrzytego, najbardziej spekulatywnego dzieła o Trójcy Przenajświętszej, ten musiał w czasie czytania odnieść nieodparte wrażenie: oto tu myśl i pisać człowiek z krwi i kości. Jeśli natomiast wnika się w aurową strukturę Summy Teologicznej św. Tomasza z Akwinu, chciałoby się pytać: czy te zdania rzeczywiście wyrażone zostały przez żywego człowieka, czy też raczej

nętrnej sprzeczności między sobą, zgodnie ze słowami „żelazo ostrzy się o żelazo” (Ks. przyp. 27, 17). Ale Bóg rozstrzygnie między nami i nimi. Niech będzie pochwalony na wieki. Amen”.

x

GRAF Landulf z Akwinu, pan na Loreto i Belcastro, był jednym z najwzierniejszych wasalów cesarza Fryderyka II. Najmłodszy syn grafa Landulfa, Tomasz, jako mały chłopiec przebywał w latach naj-

(I) głoszenia prawdy, urzędu równie obcego toczącemu się sporowi jak i wyższego ponad ten spór. Przebywając na Monte Cassino nie mógł więc Tomasz oczekiwać zapewne nia mu życia wolnego od zewnętrznych niepokojów i zakłóceń.

W roku 1239, kiedy Fryderyk II został obłożony klątwą, Monte Cassino stało się terenem najbardziej bezpośredniej walki. W roku tym załoga zamku, który w połowie miał być zaopatrywany przez opactwo, wzmocniona została w dwójna sób, fortyfikacje zostały rozbudowane na rozkaz cesarza, który dwa dziesięcia lat przedtem, właśnie w tym samym miejscu, po raz pierwszy przekroczył granicę swojego państwa sycylijskiego. W roku 1239 mnisi musieli opuścić swój klasztor. Pomiedzy nimi był 15-letni Tomasz z Akwinu.

Droga ucieczki zawiadła młodego chłopca do Neapolu. Było to miejsce jego właściwego przeznaczenia. Tam ostatecznie rozstał się ze spokojem celi i znalazł się nagle w piemiennym kręgu wszystkich sporów duchowych współczesnej mu epoki. Uniwersytet w Neapolu, liczący wtedy tyle lat istnienia, ile miał jego nowy student, był pierwszym „prawdziwym uniwersytem państwowym” — nie szkołą dla wędrownych kleryków, lecz szkołą dla urzędników cesarskich. Tu studiował Tomasz — zgodnie z tradycją — tylko „artes liberales”. Przede wszystkim jednak uczył się od swego mistrza Irlandczyka Piotra z Hi-

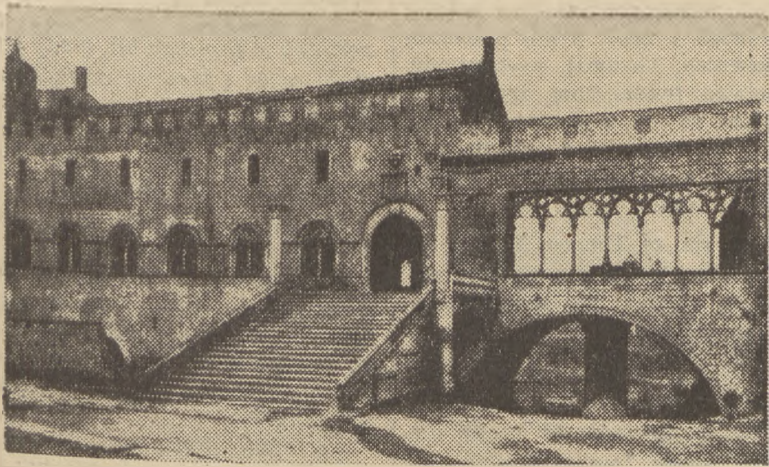
bernii poznawać pisma podejrzliwie wówczas przez Kościół traktowanego Arystotelesa; „arystotelik” brzmiało wówczas w ustach prawowiernych jak rodzaj wyzwiska, które znaczyło mniej więcej tyle, co nihilista, wolnomyśliciel, libertyn. W Neapolu objął także serca młodej szlachty płomień rodzącego się tam „ruchu młodych”, z którego wyszły pierwsze pokolenia zakonów jałmużniczych, Franciszkanów i Dominikanów.

ZNACZENIE tych zbieżności oć ni ten, kto zrozumie, że w obydwóch słowach „Arystoteles” i „ruch zakonów jałmużniczych” za wartość są najważniejsze punkty sporne, które w pierwszej połowie XIII stulecia poruszały świat chrześcijański i to z ogromną, dla nas niemal nie dającą się przedstawić gwałtownością. Nie tylko Arystoteles, lecz także obydwaj zakony jałmużnicze były przedmiotem wielu sprzecznych sądów. W czasie, w którym Tomasz przybył do Neapolu, a więc zaledwie w kilkanaście lat po śmierci św. Franciszka z Asyżu (1226), obydwaj zakony nie posiadały jeszcze charakteru jakiegś stałego, powszechnie przez chrześcijan uznanej instytucji Kościelnej. Przeważnie wszystkie przychylnie oceny i papieskie przywileje nie mogły przeszkodzić temu, że przedstawiciele ówczesnej opinii, a więc ówczesna arystokracja, budzące się mieszczaństwo, duchowieństwo świeckie — nie tylko uważali tych dzwicznych biedaków za szaleńców (co dałoby się jeszcze wytłumaczyć), lecz traktowali ich jako he-

retyków, a nawet synów Antychrysta. Oczywiście, nie mogło to osłabić dynamiki rozwojowej młodego ruchu ideowego, który wypływał z wielu źródeł i wyrastał z najgłębszej prawdy historycznej tamtego czasu. Jako należny sobie trybut, ruch ten zagarnął właśnie młodzież szlachecką. Wiemy, że paryskie zgromadzenia Franciszkanów i Dominikanów zasilane były szczególnie mocno nowicjuszami spośród młodzieży studenckiej; o tym samym zjawisku świadczą wiadomości z uniwersytetu w Bolonii, i w Neapolu na uniwersytecie Fryderyka II musiało być podobnie. Wiele wydarzeń, jak błyskawica, oświetlała nową drogę. Oto jeden z przykładów. W roku 1231 profesor uniwersytetu paryskiego Jean de Saint Giles wygłaszał w dominikańskim klasztorze św. Jakuba naukę o ubóstwie ewangelicznym. W czasie kazania tak porwał go przedmiot nauki, że przerwał swój wywód, po prośbie przeora o obalenie w szaty zakonne i dopiero potem, już jako Dominikanin, doprowadził kazanie do końca. Można uważać tę wiadomość za bajkę, nie jest jednak ustalona, czy właśnie nie w ten sposób Dominikanin objął katedrę, druga z kolei na uniwersytecie paryskim. Na tę katedrę w dwadzieścia lat później wejść miał Tomasz z Akwinu.

WEWNETRZNA siła nowych zjawisk porwała młodego studenta nauk wyzwolonych w wir ówczesnych sporów i zmuszała do podjęcia ważkiej decyzji. W dwu-

(Dokończenie na str. 4)



Pałac papieski w Viterbo

objawiła się w nich sama obiektywna istota rzeczy, niedotknięta na wet, nieogrzana, ani niezamglona choćby jednym oddechem żyjącego kiedys i żyjącego dzisiaj w swoim dziele myśliciela? Plastyczne, żywe obrazy myśli Augustyna nie pozwalają nigdy zapomnieć o dziełach jego osobistego życia, z którymi są związane jak owoc z korzeniem i pnem: natomiast kształt zdań św. Tomasza pozwala domyśleć się tyle o źródle ich żywotnej siły stwórczej, ile czysty kryształ przypomina alkaliczne złoza, z których powstał.

Ale tylko powierzchniowość i niewiedza może wysnuć z tego wniosek, że niezamącony spokój i jasność krystaliczna dzieła świadczą o niezakłóconym ani wewnętrznie, ani zewnętrznie życiu twórcy — ani chociaż z drugiej strony jest pewne, że możliwość napisania Summy Teologicznej dana być mogła jedy nie człowiekowi, w którym zamieszkał spokój ostateczny. Nie w „ciśniej celi klasztornej” ujrzał i określił św. Tomasz z Akwinu potężną konstrukcję ładu prawdy chrześcijańskiej; nie w oderwaniu od świata i nie w cichej idylli upływało jego życie. Takie, zarówno nie prawdziwie historycznie, jak i nadmiernie uproszczone wyobrażenia zapoawiają, niestety, albo raczej odbarwiają w różny sposób nie tylko popularny obraz Tomasza, lecz także wywierają często wpływ na opracowania biograficzne o wyznacznikach naukowych.

Właśnie fakt, że w tak niespokojnym i walką wypełnionym życiu mogło powstać dzieło o takiej niezachwianej rzeczywistości, pełne tak głębokiego i promiennego spokoju — właśnie to pozwala nam wnikać w ludzki charakter Tomasza z Akwinu.

A zresztą są w jego dziele także bardzo bezpośrednie odbicie i świadectwa bezwzględnie bojowej myśli, która jednak nawet w walce nigdy nie straciła przywiązania do norm prawdy i miłości, a więc nigdy nie była pozbawiona właściwego sobie spokoju. I tak na przykład rozprawa 45-letniego już Tomasza „O doskonałości życia duchowego” kończy się następującymi słowami: „Jeśli ktoś chce pisać przeciwko temu, będą bardzo zadowolony. Ponieważ prawda i fałsz najwyraźniej występują w wew-

ostrzejszego sporu między cesarzem a papieżem na Monte Cassino, będącym nie tylko opactwem benedyktyńskim, ale i cesarskim zamkiem, położonym na granicy zasięgu władzy Hohenstaufów i papieży. Tu młody Tomasz przygotowywał się do kapłańskiego urzędu

ALELUJA, Alleluja, Alleluja, Alleluja! — taką czterokrotną pobudką kończą się modlitwy brewiarzowe na granicy dwu okresów liturgicznych: okresu Bożego Narodzenia i cyklu Wielkiejnocy. Jest to ostatnie echo śpiewu aniołów z owej cudownej Nocy Betelemskiej, gdy przed człowiekiem stanęła oszalałająca perspektywa Synostwa Bożego. Odiąd na całej dźwięgiej tygodni milknie w liturgii radosne Alleluja, by znów, czterokrotnym hejnałem odczuwać się w Wielką Sobotę. Miejsce Alleluja zastępuje w brewiarzu wezwanie „Cześć Tobie, Panie, Królu wiecznej chwały”, a we Mszy św. Traktus zawierający rozpamiętywanie w duchu pokuty treści Mszy na dzień bieżący. Pierwszy okres cyklu wielkanocnego, który obejmuje trzy niedziele Przedpościa, a mianowicie Starozapustną, Mięgosupstną i Zapustną, poświęca Kościół problemowi człowieka. O wielkiej jego godności mówił okres Bożego Narodzenia. Dlaczego więc sam Syn Boży musiał złożyć ofiarę Krzyża, by człowiek mógł się zbawić? Czy nie może tego osiągnąć ludzkość własnymi siłami? Czymże jest w istocie swej człowiek?

Aby odpowiedzieć na te dręczące a zasadnicze pytania przesuwa Kościół przed naszymi oczyma szereg ludzkich postaci. Na tle spienionych fal potopu, na tle płomieni Sodomy i Gomory rysują się w brewiarzu wielkie postacie Adama, Noego i Abrahama, a we Mszy św. przez trzy niedziele gigantyczna postać Apostoła Narodów. Adam imponuje nam swoją początkową świętością i panowaniem nad siłami przyrody. Noe, mąż sprawiedliwy, ratuje ludzkość od zagłady. Abraham, wielki swą wiarą, jest ojcem narodu, co jedyne na świecie przechowa nieskażoną wiarę w Boga. Św. Paweł zadziwia nas ogromem dokonanego dzieła i głębią nauczania. A jednak oni wszyscy noszą na sercu krwawiącą ranę, oni wszyscy mogą się skarżyć słowami tego, co był „naczelnym wybranym”: „Nieszczęsny ja człowiek, któż mnie wyzwolił od śmierci grzechu”? (Rzym. 7, 24)

Oto Człowiek!

Jeżeli nie w ich wielkości, to za to w ich błędach, odnaleźć się może każdy człowiek. Toteż na początku tego okresu liturgicznego w responsorium nokturnu stawia Kościół ostrzeżenie: „Ecce Adam, quasi unus ex nobis factus est” — w osobie Adama stworzył Bóg, jakby każdego z nas.

Jak w misterium średniowiecznym Everyman. Jedermann. Każdy. A w hymnie kończącym officjum brewiarzowe przypomina nam Kościół w krótkich a dobitnych słowach, że jesteśmy „synami Ewy”, wygnancami, co koczują na tym „leż padole”.

Nawet sam fakt chrztu, co nam daje nową naturę i czyni dziećmi Bożymi, nie daje sam przez się gwarancji zbawienia. Trzeba ustawicznej czujności i niekończących się wysiłków, by nie stracić szaty godowej, bez której nie można wejść do Królestwa Niebieskiego. Tę naukę głosi Kościół przez usta św. Pawła.

Św. Paweł wysuwa się bowiem na pierwszy plan w liturgii Przedpościa. W niedzielę Starozapustną przedstawia się nam jako zawodnik zabiegający o wieniec zwycięstwa. Życie na ziemi jest areną, na której się odbywają zawody, metą — niebo, gdzie nas czeka „wieniec nieśkazitelną”. Trzeba wielkiej dyscypliny wewnętrznej, ciągłej zaprawy, aby dojść do celu. „Biegnę — mówi Apostoł — nie jakby na oślep, szermuję — nie jakbym raził powietrze”.

To jest zasadnicza kwestia: uświadomić sobie cel życia i przez należyte przygotowanie i dyscyplinę wewnętrzną zdążyć niestrudzenie do niego. Ewangelia tej niedziele rozwinęła ten sam problem, przedstawiając życie jako pracę w winnicy. Wszyscy są do niej powołani. „Czemu stocicie próżnujący”? — pyta gospodarz — Stwórca każdego człowieka. Życie — to ustawiczny wysiłek. A za-

plata za pracę jest ogromna, jak zapłata uiszczona Abrahamowi: nimis magna — nad pojęcie wielka, bo płynie z Serca Bożego i nazywa się szczęściem wiekiustym.

W niedzielę Mięgosupstną słyszymy stawną „autobiografię św. Pawła”. Może się w niej odnaleźć każdy: i fanatyczny nieprzyjaciel Kościoła i niestrudzony żołnierz Chrystusowy, działacz i mityk, człowiek, co „zwy ciężko podbija ciało” i człowiek lamentujący nad ułomnością swojej natury. W tej lekcji, ujętej z II Listu do Koryntian urasta św. Paweł do wyżyn herosów greckich, o jakich marzyła wyobraźnia Hellenów.

Władca dusz, więzień, rozbitek, misjonarz, organizator, stygmatyk, nieugięty szermierz Boży, a przy tym analityk stwierdzający z przerażeniem to, co powiedział Owidiusz o sobie: „widzę co dobre, a pragnę raczej tego co złe.” Ale on chlubi się swoją słabością, bo tym bardziej objawia się moc Łaski, co go przetwarza w nowego człowieka.

Ziarno Łaski Bożej musi jednak paść na podatną rolę, na duszę spulchnioną dobrą wolą człowieka. Uzasadnia to Ewangelia tej samej niedziele, a Traktus rozważa tajemnicę współpracy człowieka z Bogiem.

Aby się przetworzyć w nowego człowieka, trzeba ze strony Boga Łaski i jej mocy, a ze strony człowieka oprócz dobrej woli: wiary i miłości.

Ten problem rozwija niedziela Zapustna. Officjum i brewiarzowe stawia przed oczyma „ojca wiary” — Abrahama. Msza św. w osobie ślepego z Jerycha widzi tych, co nie znają jasności światła nadprzyrodzonego. Ale wartość prawdziwą i nieprzemijającą daje tylko miłość. Bez niej wiara sama staje się bezpłodną, a Łaska nie przyjmuje się w duszy. Miłość jest bowiem żywiołem tworzącym i ona przetwarza człowieka.

Mówi o tym już po raz trzeci wyępujący św. Paweł w niezrównanym peaniu swoim na cześć miłości. Bez niej imię człowieka jest pustym dźwiękiem, „jako cymbał brzącający albo miedź brzęcząca”. Choćby kto uzurkował mową aniołów, choćby miał dar prorokowania, choćby przenikał wszystkie tajemnice i posiadał wszelką wiedzę, choćby niara jego była tak wielka, że mógłby przenosić góry, choćby nawet spełniał uczynki miłosierdzia, bez miłości jest niczym. Ona daje pełnię człowiekowi. Ona upadabnia go do Boga i ona wprowadzi po śmierci przed oblicze Boga.

„Czego pragniesz?” — pyta Bóg człowieka w antyfonie do Magnificat na zakończenie okresu Przedpościa. „Abym przejrzał, Panie” — odpowiada w imieniu ludzi Kościół. I to jest celem tego okresu. Poznać czym jest w istocie swej człowiek. „Mało co umniejszony od aniołów” (Ps. 8,6), tak wielka jest jego godność, że Syn Boży przybrał na się ciało ludzkie, a równocześnie imię jego — znikomość, ułomność, proch.

Przypomnieniem tej prawdy kończy się ten okres, gdy w Środę Popielcową posypuje kapłan głowy popiołem. Oto człowiek. Poza Adamem, Noem, Abrahamem, św. Pawłem są jeszcze bohaterkie postacie Leonidasów, Temistoklesów i jeszcze kilku, kilkudziesięciu, kilkuset postaci, których imion ni zanotował żaden Nepos. Ale i nad nimi i nad rojowiskiem istnień ludzkich unosi się wyrok Srody Popielcowej: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”. Nad wszystkimi wypisane są Dawidowe słowa: „Jesteście jako trawa, co z poranku rośnie, a wieczór usycha.” (Ps. 89,6). A jeśli chodzi o życie wieczne, do którego was Stwórca powołał, nie będziesz go miał, jeżeli cię Syn Boży nie usynowi. I choćby twoje imiona zapisywało na karcie historii tysiące Plutarchów, to imię twoje w księdze żywota może zapisać tylko Jezus Krwią Swoją.

Boś człowiek!

Jan POGORSKI

AZJATYCKIE PRZEMIANY (V)¹⁾

S P O W I E D Ź C H I N K I

Nie sposób w jednym — choćby i najdłuższym artykule — zanalizować całości tych głębokich przeobrażeń, które dokonały się w ciągu paru ostatnich lat, na ogromnych obszarach Chin Ludowych. Przemiany, jakie przyniosła Rewolucja 450-milionowemu narodowi chińskiemu są olbrzymie i sięgają wszystkich dziedzin. Dlatego autor cyklu „Przemiany Azjatyckie” ograniczył się do ilustracji jednego tylko zagadnienia, mianowicie emancypacji i równouprawnienia kobiety wiejskiej w Chinach, przytaczając opowiadanie, które zawdzięcza reemigrantowi polskiemu, przybytemu zeszłego roku z Charbina.

KIEDY poznałem Kin Kua, czyli Złocisty Kwiat, kończyła właśnie 24 lata. Silna i smukła, miała nogi i ręce nieprawdopodobnie zgrabne, jak na wiejską dziewczynę z Północnych Prowincji.

Urodziła się w małej wiosce i dzieciństwo jej upłynęło w najbardziej prymitywnych warunkach. Mając lat 1 przeżyła tę Wielką Przygodę, jaką jest pierwsza miłość. Zakochała się w towarzyszu swego starszego brata, młodym Li Pao. Kiedy opowiadała mi później o nim, nie można się było oprzeć uczuciu zainteresowania i sympatii dla tego pięknego chłopaka, a jego oczy były jak przejrzyste wody strumienia, przy którym dobrze jest wyciszyć się.

Li Pao spostrzegł wkrótce, co się dzieje w sercu małej siostrzyczki swego kolegi, więc pewnego dnia podszedł do niej i powiedział: „Z oczu twych wyczytałem wszystko. Wiem teraz dla kogo bije twoje serce.” Drżąc ze wstydu i szczęścia Złocisty Kwiat, nie znalazła narażenie odpowiedzi. Pragnęła gorąco znaleźć się z Li Pao sam na sam, lecz z początku wydawało jej się to niemożliwością. Dla wiejskiej dziewczyny z Chin Północnych, pokazywanie się z chłopcem było — jeszcze parę lat temu — grubą nieprzyzwoitością, prowadzącą prosto do otrzymania hańbiącego piętna „złamanego trzewiczka”.

Wreszcie, po paru tygodniach, Złocisty Kwiat zdobyła się na odwagę i wyszeptala prosto do ucha Li Pao:



— Jutro nikogo nie będzie w domu. Czy zechciałbyś okazać wielką łaskę niegodnej dziewczynie i przyjść do mnie?

Nazajutrz wieczorem, gdy Li Pao wszedł do chaty, dziewczyna zamknęła drzwi na drewnianą zasuwkę. Ośmielony tym Li Pao otoczył ją ramieniem, chcąc ją ucałować. Ale Złocisty Kwiat rzuciła się przed nim na kolana błagając: „O, drogi mój! Bądź moim ukochanym, moim Wielkim Bratem, kochaj mnie, ale nie dotykaj mnie jeszcze.” I Li Pao posłuchał jej.

Odtąd nastąpiły dla dwojga dzieci najpiękniejsze dni ich życia. Li Pao nauczył swoją ukochaną rysować kilka znaków pisma chińskiego. Kiedy chciała go zobaczyć, rysowała znak „przyjdź” na kawałku papieru i zostawiała papirerek w szczelnie umówionego drzewa. Li Pao odpisywała „tak” lub „nie”, „dziś wieczór” albo „jutro”, „u ciebie” lub „u mnie”, więcej znaków bowiem nie zdążył jej nauczyć.

Pismo, to doprawdy jest coś nadprzyrodzonego — myślała naiwnie Złocisty Kwiat. Wystarczy, że narysuję znak „przyjdź” i bęc! Oto Li Pao przybiega do mnie!

I tak jak w dawnych rycerskich legendach, uszyła mu kaftan błękit-

ny, haftowany w złote kwiaty. A, że nie miała wiele złotych nici, więc kwiatki były małe i ledwie widoczne. Wreszcie, po skończeniu spytala się zarumieniona:

— Czy może, przypadkiem, podobają ci się ta nędzna, partacka robota?

A Li Pao odpowiedział według wzorów najczystszej tradycji chińskiej:



— Podobają mi się ogromnie i kocham ją z całego serca, albowiem arcydzieło to wyszło z rąk mojej ukochanej.

JAKŻE daleko jednak od rycerskich tradycji odbiegła nędzna rzeczywistość Chin Wzoraszych!

Na jesieni 1943 r. Złocisty Kwiat dowiedziała się, że wedle panującego zwyczaju, rodzice wybrali jej męża. Był nim niejaki Czang, mężczyzna czterdziestoletni, brzydki, przykry i opryskliwy. Wydawał się jej zły i straszliwie stary.

Odtąd zaczęło się piekło. Od dnia ślubu Złocisty Kwiat żyła w domu swego męża jak w więzieniu. Według niezmiennych obyczajów wsi chińskiej, młoda żona, ostatnia osoba w hierarchii domowej, zmuszona była usługiwać wszystkim domownikom, a w pierwszym rzędzie teściowej, czyli Pani Najwyższego Autorytetu, teściowi — Panu Dostojnemu, mężowi i jego braciom i siostram. Musiała ubierać Czanga rano i rozbierać go wieczorem, zapalać mu papierosy, czyścić pantofle. Gotowała dla całego domu, a kiedy przynosiła komuś z rodziny męża choćby miseczkę wody, to zawsze zgięta w pełnym szacunku pokłonem, niemalże na klęczkach.

Przy każdej okazji teść powtarzał, iż „stanowi bezsporną własność rodziny męża tak, jak wół lub worek ryżu, a rodzinie winna posługi i posłuszeństwo.”

Mąż bił ją codziennie ile wlało i starał się wymóc na niej wyznanie, że jest nieszczęśliwa i go nienawidzi. Wówczas bowiem „straciłaby twarz”, a taką żonę wolno wypędzić, zamienić a nawet i zabić bezkarnie.

Lecz pamiętna swych obowiązków, Złocisty Kwiat, powtarzała słodkim głosem przykazania dobrej żony:

— O Panie mój i Mężu! Służę Ci będę wiernie przez całe życie. Kiedy zbiorę okaże się chudy i gdy przyjdzie nam głodować, chodźcie będę po wsiach i żebrac dla Ciebie. Jeśli przypadkiem porwali Cię rozbójnicy, sprzedam wszystko co posiadam a nawet i to nędzne ciało moje, by tylko móc zapłacić okup za Ciebie.”

I rzeczywiście, gdy przyszedł wielki głód na przełomie 1944 i 45 roku, teściowa i mąż jedli prażone proso a czasem nawet i garsteczkę ryżu, ale Złocisty Kwiat dostawała jedynie łuski z ziaren, krajaną słomę i liście, które sama zrywała z drzew.

Wreszcie sytuacja żywnościowa pogorszyła się do tego stopnia, że Czang musiał wyjechać do krewnych do Tien-Tsinu, by pomagać im w handlu. Złocisty Kwiat odprowadziła go aż do samych bram miasta, dźwigając pakunki, jak przystoi dobrej żonie. Pokornie wysłuchiwała rozkazów męża:

— Pamiętaj, by moja matka, ojciec i siostra mieli zawsze coś do jedzenia — mówił Czang — gdyby zostały jakieś resztki, to będą dla ciebie. Jeśli dojdą mnie jakieś skargi, będę cię bił tak długo, aż umrzesz.

— Bądź spokojny, Panie mój — odpowiedziała — Wiesz przecież, że jeno troska o Ciebie i dom Twój mieszka w sercu moim.

Równocześnie jednak myślała sobie: „Bodajby go Japończycy zatłukli! A ja, cierpliwości, może nadejdzie mój dzień”.

W KOŃCU 1946 r. oddział 8. Armii Ludowej zajął wioskę. Podzielono ziemię bogaczy. Wojsko pomagało przy robotach w polu. Za często przebąkiwać o stworzeniu Ligi Kobiet.

Złocisty Kwiat nie bardzo wierzyła w poprawę losu kobiet. Aż pewnego dnia odwiedziła ją kuzynka jej, Misu, która od przeszło roku była żołnierzem Armii Ludowej.

Misu miała czerwone policzki, krótkie czarne włosy, podarty kaftan i wytłuszczone szarawary. Ale cała promieniowała młodością, a u pasa zwiisał wielki, czarny pistolet.

I ona również, od najmłodszych lat, poznała niedolę i nędzę wsi chińskiej. Ojca zabił jej bandyci z mafii „Srebrnego Smoka”, dwie starsze siostry umarły z głodu. Mając 12 lat, Misu musiała pracować przy budowie szos dla Japończyków a chiński de. Jaka robotę bił ją kijem do nieprzytomności. Kiedy skończyła 16 lat, rodzice wydali ją za mąż za chłopca o rok od niej młodszego. Zaczęły się ciężkie dni służby w domu teściów. Za każdym razem, kiedy dochodziło do sprzeczki z jej młodocianym mężem, chłopak pędził na skargę do rodziców, a ci łoil ją kijami bez miłosierdzia, a potem zamykali na parę dni w chlewiku o chłodzie i głodzie.

Ryzykując wielką hańbę i „tracąc twarz”, Misu uciekła do swej babki i tam doczekała się przyjścia 8. Armii. Żołnierz, który pomagał staruszce, powiedział kiedyś do Misu:

— Sąsiedzi mówili mnie, że wiele wycierpiałaś. Teraz nowy dzień wstaje dla naszej ojczyzny. Każda kobieta będzie równa mężczyźnie. Może być nawet żołnierzem jak my.

Misu była oczarowana, ale jej babka nie wierzyła.

— Od najdawniejszych czasów mężczyzna jest zawsze niebem a kobieta ziemią. Dlaczego właśnie teraz by się miało coś zmienić?



Zmieniło się jednak i po roku służby wojskowej Misu organizowała teraz Ligę Kobiet. Chodziła z paroma jeszcze dziewczynkami od chaty do chaty wypytując i zachęcając kobiety do szczerych wypowiedzi na temat ich stosunków domowych. Po długich i strasznych wahaniach, Złocisty Kwiat opowiedziała Misu o wszystkich swych nieszczęściach.

W parę dni później cztery kobiety weszły do chaty jej teściów.

— Mamy informacje, że pan nie traktuje swoją synową — zaczęła Misu.

Stary Czang omal nie udusił się z oburzenia.

— Czego wtykacie nos w cudze sprawy? Mogę zrobić z moją synową, co mi się żywnie podoba!

Misu odpowiedziała stanowczo:

— Staramy się być uprzejmi. Robimy to dla dobra pańskiej rodziny. Chcemy by w każdym domu panował spokój i harmonia.

Rozwścieczony starzec chwycił za kij starając się przepędzić kobiety. Ale cztery młode i krzepkie dziewczyny wyjęły przygotowane sznury i po krótkiej chwili stary Czang leżał już związany jak bela bawełny, którą przynosi się z targu.

ZŁOCISTY KWIAT nie wierzyła w własnym oczom. Jakże? Ten człowiek, który był postrachem całego domu, który latami znęcał się nad nią, teraz jechał na wózku, bezsilny, jak bezużyteczny przedmiot. Liga Kobiet zwołała natychmiast Wiec Wylewania Goryczy”.

Przewodnicząca oświadczyła:

— Ktokolwiek zechce sprzeciwić się postępowi i równouprawnieniu kobiet, zostanie unieszkodliwiony tak jak ten stary Czang. Przyszedł czas byśmy rozpatrzyły sprawę naszej drogiej siostry, Złocisty Kwiat.



— Słuchaj, stary człowieku — zapętała Misu — jak traktowałeś swoją synową?

— Była zawsze jedyną moją troską — odrzekł stary Czang.

Z rękami zaciśniętymi na piersiach, Złocisty Kwiat podbiegła do przewodniczącej, rozumiejąc, że trafia się jej jedyna okazja w życiu:

— Nigdy nie było dla mnie prosi ani ryżu! Nie dostawałam ani ubrań, ani maty do spania. Ileż razy zamykali mnie w chlewiku, nie dając jeść ani pić przez parę dni!

Któraś z dziewczyn pisnęła cienko:

— Śmierć temu łajdakowi, który męczył naszą siostrę!

— Dawał mi tylko pomyje do jedzenia! — krzyknęła Złocisty Kwiat.

Wówczas przez rozwścieczony tłum przecisnęła się Misu. Popatrzyła starcowi prosto w oczy.

— Poprawi się pan!

— O tak! Na pewno — wyszeptał stary Czang.

— Nie będziecie męczyć waszej synowej?

— Nie będziemy. Przysięgam.

•) Tak nazywają się w Chinach dzwoneczkowe publiczne posiedzenia, podczas których odbywa się krytyka i samokrytyka zebranych.

Złocisty Kwiat powróciła triumfalnie do domu swych teściów. Nie chciała wykorzystywać sytuacji, ale wymagała odtąd, by ją traktowano na absolutnie równych prawach. Jadła więc to samo co wszyscy, wychodziła kiedy się jej podobało, pracowała tyle, ile każdy z członków rodziny. Pomna na własne, smutne doświadczenia, pomaga młodzieży pobierać się według własnej woli i własnego wyboru. Obecnie ceremonia ślubna odbywa się zwykle na rynku, wobec wszystkich zebranych. Narzeczeni kłaniają się sobie uprzejmie zamiast bić pokłony przed tabliczkami z imionami przodków. Mistrz ceremonii mówi zwyczajnie: „A teraz panna U bierze sobie za męża pana Czo”. Delegat gminy zaświadcza, że rzecz dzieje się bez przymusu i z wolnej woli obojga małżonków. Swat opowiadał, jak mu się udało doprowadzić do spotkania młodych. Często zebrani żądają, by opowiedziano im historię miłości państwa młodych. Ale nowożeńcy, jeszcze bardzo nieśmieli, odpowiadają zwykle: „Pobieramy się z własnej woli i dziękujemy wszystkim za zainteresowanie i sympatię.”

Ale prawie nigdy państwo młodzi nie całują się publicznie.

NA zakończenie spytałem się Złocisty Kwiat, jak wyobraża sobie teraz życie małżeńskie w ogóle.

— Mąż powinien być bardziej wykształcony od żony, by móc, na przy-

kład, nauczyć ją pisać. Gdyby miał zle skłonności pomogłabym mu poprawić się. Gdyby przyszedł do domu zmęczony, zdjąłabym mu buty i rozebrałabym go, ale nazajutrz powiedziałabym mu, że zrobiłam to tylko dlatego, że był zmęczony i że na pewno nie będę tego robić co wieczór. Gdyby był smutny lub nieszczęśliwy, wiożyłabym moje najładniejsze stroje, by ucieszyć jego oczy i starałabym się być dla niego tak miła, jak tylko potrafię. I wreszcie kochałabym go tak mocno, jak niegdyś kochałam Li Pao.

Popatrzyłem zdumiony na tę dziewczynę, która zaledwie umiała czytać i trochę pisać. Kurtka jej była zaplamiona nawozem. Zdarzało się jej wycierać nos w palce albo spluć na ziemię. A przecież po dwóch tygodniach dbania o siebie i paru zabiegach kosmetycznych byłaby prześliczna. Pełna wdzięku kobiecość łączyła się u niej z siłą i jakimś promiennym uporem. A przecież była to tylko zwykła wiejska dziewczyna chińska, jak miliony innych. I dopiero kiedy Złocisty Kwiat opowiedziała mi swoje życie, zrozumiałem czym stała się rewolucja dla Chin i narodów Azji.

Jan Pogorski

1) „Azjatyckie przemiany” „Otwarty się wrota Tybetu” „Rodzą się Nowe Indie” „Najmłodsze Domium”.

Józef DUŻYK

Nad klasykiem polskiej historiografii

PRZEZ kilka wieczorów pochy-
lałem się nad książką Tade-
usza Wojciechowskiego¹⁾ i
wczytywałem się w jej odświeżone
nowym wydaniem karty. To już
trzecie z kolei wydanie „Szkiców“
jest o 47 lat odległe od wydania
pierwszego. Wiele zaszło przez ten
czas zmian, wiele nazwisk jest
już nazwiskami historycznymi, po-
sunęły się naprzód badania, osią-
gnięto lepsze wyniki, powiększył się
zasób wiedzy o państwie polskim,
o jego wczesnych dziejach. Jednak
do rozprawy Wojciechowskiego
większość wróci z rozkoszą i wczy-
ta się na nowo w karty już kla-
sycznej książki, bo klasykiem
polskiej historiografii jest Tade-
usz Wojciechowski. W r. 1949 pisał
Jan Parandowski w pięknym
artykule o Wojciechowskim: „Są-
dząc, że czas pomyśleć o bibliotece
klasyków naszej historiografii,
gdzie Wojciechowski znajdzie się
na pierwszym miejscu²⁾. Rok 1951
przyniósł nam trzecie wydanie
„Szkiców“, które dotąd były nie-
małym „białym krukiem“.

Ciekawie pisze o tym powrocie
do znanej już książki Jan Parandowski
w cytowanym artykule:
„Wracając do książki, której nie
wziliśmy od lat, przeżywamy
częstą siebie samych w odurza-
jących wzruszeniach. Wojciechow-
ski przynosi mi pachnący lipami
czerwiec, w którym z jego pomocą
szukałem romańskiego Wawelu dla
swej „Mszy o św. Stanisławie“. I
teraz oto wędruję po jego stroni-
cach z uroczym cieniem owych dni
i słucham głosu historyka z tą
samą ciekawością i uwagą“.

W dobrym, wziętym wstępie da-
je prof. Gieysztor charakterysty-
kę życia i twórczości Tadeusza
Wojciechowskiego. Tadeusz Woj-
ciechowski urodzony w r. 1838 w
Krakowie z grodem podwawelskim
był związany przez całe życie.
Trafnie pisze o tym w przedmo-
wie do drugiego wydania „Szkic-
ców“ w r. 1925 Stanisław Zakrzew-
ski: „Jakkolwiek większą, drugą
połowę życia spędził poza tym
miastem, myślą żył zawsze w nim
i uważał się za stróża jego histo-
rycznych pamiątek i źródeł. Woj-
ciechowski życie całe poświęcił
opracowaniu średniowiecznych
czasów; z tych jednak najbliższe są
mu tematy historii krakowskiej,
źródła krakowskich i źródeł ma-
polskich. Parę zaledwie i to drob-
niejszych rozpraw stanowi wyją-
tek od tego naczelnego rysu“. W r.
1854 kończy Gimnazjum św.
Anny (Nowodworskiego), stu-
dia uniwersyteckie (prawniczo-
historyczne) odbywa w Krakowie
i Wiedniu. Doktorat filozofii uzy-
skał w r. 1865 na Uniwersytecie
Jagiellońskim. Z doktoratem, na-
własem mówiąc, nie poszło mu tak
łatwo. Pierwszą rozprawę p.t. „Za-
biegi cesarza Maksymiliana II o
koronę polską w latach 1572-1576“
Wydział Filozoficzny U. J. w r.
1851 odrzucił. Wojciechowski przez
pół roku przebywa w więzieniu (za
udział w konspiracji galicyjskiej),
potem zostaje pracownikiem Bi-
blioteki Jagiellońskiej, a w r. 1875
przenosi się do Lwowa. W r. 1883
obejmuje tu katedrę historii Pol-
ski. Zmarł w r. 1919.

Tadeusz Wojciechowski to jedna
z najciekawszych postaci spośród
uczonych. „Wykształcenie nauko-
we — pisze St. Zakrzewski — zdo-
był przeważnie drogą samouctwa“.
Był odczytany w źródłach, co jest
cechą solidnego i wytrawnego his-

toryka. Źródła przecież, to podsta-
wa badaczy dawnych dziejów.
Zbytne przywiązanie do opraco-
wań powoduje, że wielu history-
ków idzie niewolniczo za poglądami
poprzedników i przez to nie
przyczynia się do postępu badań
w danej dziedzinie. Wojciechow-
ski „opracowaniem — pisze Giey-
sztor — niezbyt ufał; starał się
samodzielnie i od początku stawić
własną problematykę historyczną,
posługując się bliskim intuicyj-
nym wiodącym od ogólnej kon-
strukcji do potrzebnych źródeł
dowodowych... zwił przekonanie,
że umysł badacza powinien obej-
mować całość tekstów źródłowych,
uczył się więc ich na pamięć... pa-
mięci swej ufał niekiedy nadmier-
nie, stąd w aparacie naukowym
„Szkiców“ nie mało nieścisłości w
cytatach, zwłaszcza źródłowych,
co również wydanie niniejsze po-
zostawia bez zmian. Porównywał
swoją umysł do stale napiętej cię-
ciwy, a odprężenia szukał czasem
w lekturze powieści“.

DO najciekawszych prac Woj-
ciechowskiego należą: „Chro-
bacja. Rozbiór starożytności sło-
wiańskich“, „O rocznikach pol-
skich X-XV wieku“, „O Kazimierzu
Mnichu“, wielka praca „Kościoł
katedralny w Krakowie“ i wreszcie
przedmiot naszych rozważań
„Szkice historyczne jedenastego
wieku“.

Choć sposób pisania Wojcie-
chowskiego nie jest łatwy, po-
ciąga przecież interesującego się
średniowieczną historią czytel-
nika. I czytelnika tego umie
historyk prowadzić: prowadzi
go, jak najlepszy przewodnik,
przez gąszcz źródeł i przeróżnych
wytykających z nich zagadnień,
„rozkłada dokumenty, czyta je ra-
zem z nami, objaśnia, zwraca się
z trudności, jakby szukał u nas
radę czy wskazówki. Czasem wtrąci
uwagę o tym, ile trudu kosztowało
go właściwe zrozumienie tekstu,
stuka w swe rozumowanie, pokazu-
jąc kručze i chwielne podpory, zo-
stawia jakiś szczegół nierozstrzy-
gnięty, przytacza cudze sądy, zdol-
nie podważa jego własny i nie
ukrywa niepokoju przed zbyt śmia-
łym twierdzeniem, tak samo jak
zadowolonia, gdy uda mu się zna-
leźć coś, czego nikt dotąd nie za-
uważył“³⁾.

„Szkice historyczne jedenastego
wieku“ próbują odsonić najciem-
niejszy okres naszej historii. Wszak
wiek XI, to dla nas gęsty mrok,
rozświetlony tu i ówdzie nikłym
promykami maleńkiej wiadomości.
Bo oprócz jedyne, poważnego
źródła jakim jest kronika Galla,
kilku rocznikarskimi wiadomości-
mi i jedyным zachowanym w ory-
ginalie dokumentem, nie posiadamy
nic więcej. Teraz dopiero prehisto-
rycy na większą, nie spotykaną
dotąd u nas skalę, zaczynają wy-
dobywać spod ziemi źródła niepi-
sane.

Przygotowana do nowego wy-
dania przez Gieysztorę książka
Wojciechowskiego zawiera, tak jak
wydanie z r. 1925, 11 szkiców. Oto
ich tytuły: 1. Eremici reguiy św.
Romualda, czyli benedyktyni włoscy
w Polsce XI wieku, 2. Astryk-
Anastazy, opat trzemeszyński, 3.
Piastowicz-eremita i biskup kra-
kowski Lambert I, 4. Arcybiskup
Bogumił, 5. Królestwo polskie i ko-
ronacja Bolesława II, 6. Arcybiskup
Henryk, 7. Siracenie i żeganie
króla Bolesława II, 8. Faktum bi-
skupa Stanisława, 9. Władysław
Herman, 10. Dalsze losy zatraconej
korony, 11. Plemię Kadłubka.

Autor z prawdziwą precyzją roz-
prawia o problemach Polski wczes-
nodziejowej, snując na podstawie

niejednokrotnie nikłych wzmianek
ciekawe hipotezy. Że niektóre są
zbyt śmiałe to prawda, ale że wni-
ośły równocześnie wiele rewelacyj-
nych odkryć, temu także nie moż-
na zaprzeczyć.

EREMICI, o których pisze Woj-
ciechowski, to benedyktyni
włoscy, którzy przybyli do Polski
w r. 1001. Dwóch z nich przeży-
wało przed tym w eremie w Pe-
reum koło Rawenny, założonym
przez Romualda w r. 971. Imiona
ich: Benedykt, Jan, dwóch Pola-
ków: Izaak i Mateusz oraz ich słu-
ga Krystyn. Znany ich wszyscy
pod nazwą Pięciu Braci, którzy
zginęli śmiercią męczeńską w r.
1003. Zabici zostali „dla spełnienia
rabunku“, w czym się niestety
mordercy pomylili, gdyż srebro,
które Benedykt otrzymał na kosz-
ty podróży do Rzymu, zwrócił Bo-
lesławowi w Pradze. Żywot Pięciu
Braci spisał Bruno p.t. „Passio ss.
Benedicti et Johannis ac sociorum
eorundem“. Wojciechowski podaje
treść tego żywotu, zagląda i do in-
nych źródeł i stara się ustalić bar-
dziej ściśle i prawdziwie dane o mę-
czennikach, których święto do dziś
obchodzimy. Rzuci również kilka
przypuszczeń, dotyczących miejsca
tego eremu. Miał to być erem
w Kaźmierzu Biskupim koło Gniezna.
Nadto Wojciechowski twierdzi, że
siedzibą eremitów był również O-
patów miasto w Sandomierskim, z
kolegiatą z XII wieku. „O cyster-
sach nie może tu być mowy, bo
znamy wszystkie fundacje, jakie
mieli w diecezji krakowskiej; spi-
sali je dokładnie w rocznikach, ale
nie ma między nimi Opatowa“. Tym-
czasem T. Manteuffel w pra-
cy drukowanej w r. 1950⁴⁾ stwier-
dza, że Opatów jest fundacją cy-
sterską „być może z nadania Pło-
tra Własta i stanowiący najdalej
ku wschodowi wysuniętą bazę ich
działalności misyjnej na Rusi“. Nadto
Wojciechowski szuka jesz-
cze klasztorów eremitów we Wro-
clawiu i Opatowcu. W tymże szki-
cu wspomina autor o wpołigen-
darnej postaci, jaką jest dla nas
św. Świerad. Turysta wędrujący
przez polskie ziemie zahaczył mo-
że kiedyś o Tropie, naddunańską
pustelnię, rzekome miejsce pobytu
św. Świerada i wtedy obito mu się
o uszy imię tego świętego.

Wiele ciekawych spostrzeżeń po-
daje Wojciechowski w szkicu „Ar-
cybiskup Bogumił“ o Tyńcu, opac-
twie, które zawsze pociągało histo-
ryków swą starożytnością. Wysu-
wano różne poglądy na temat je-
go powstania. Prace wykopalisko-
we prowadzoną w Tyńcu po
wznowieniu wydobły ukryte w ziemi, prze-
piękną głowicę romańską. Mogą
one służyć jako jeden z argumen-
tów przemawiających za dawnością
opactwa. Wojciechowski na
podstawie wiadomości z bulli Grze-
gorza IX z r. 1229 (Boleslaus rex
Poloniae et Judith regina uxor
ejus vestri monasterii fundatores)
przypuszcza, że założycielami klasz-
toru byli: Bolesław Śmiały i Judy-
ta żona jego. „Późniejsza historia
przeniosła zasługę i sławę tych
dzieł na Hermana i na Judytę
czeską, a pokryła Bolesława mil-
czeniem, oczywiście z powodu „mę-
czeństwa“ Stanisława.

Dochodzimy powoli do najważ-
niejszego zagadnienia w książce
Wojciechowskiego, które oświetla
nieco szkic o arcybiskupie Bogu-
mile. Problemowi św. Stanisława
biskupa i męczennika, Tadeusz
Wojciechowski poświęcił najwięcej
miejsca. Występując z nową i śmia-
łą, jak na owe czasy, hipotezą, wy-
wołał prawdziwą burzę wśród hi-
storyków polskich. Śmiałą była hi-

potęza, która świętemu, czczono-
mu przez wieki, próbowała odebrać
blask i w imieniu nauki żądała od-
stąpienia prawdy.

Bolesław Śmiały został pokazany
przez Wojciechowskiego jako je-
den z najlepszych naszych królów,
który dążył do stworzenia silnej
Polski i był znakomitym organiza-
torem życia kościelnego. Traf-
nie chciał, że nieszczęsny wypadek spo-
wodował ruinę jego zamierzeń i
planów. Bolesław Śmiały Wojcie-
chowskiego, to nie król-żebak nie-
malże i morderca — ale władca o
pierwszorzędnym zaletach i walo-
rach.

„Polska miała od roku 1000
wszystko, czego było potrzeba do
założenia królestwa. Miała dosta-
teczną potęgę wojskową i miała też
niezawisłość kościelną, opartą na
własnej metropolii; inwestytura i
konsekracja biskupów odbywała
się w kraju z ręki własnych ksią-
żąt i metropolitów; nie było więc
żadnej przeszkody do założenia
królestwa. A jednak żadnemu na-
rodowi w całym świecie rzymsko-
katolickim nie było tak trudne u-
stalić się przy godności króle-
wskiej jak polskiemu“.

I na tym gruncie wyrasta w
„Szkicach“ sprawa św. Stanisława.
Uznając zalety św. Stanisława ja-
ko kapłana Wojciechowski ostro
potępia jego działalność polityczną
i wystąpienia przeciwko Bolesła-
wowi Śmiałemu. Zastrzega się
wprawdzie w szkicu siódmym, gdy
pisze słowa: „Ten szkic jak i na-
stępny mogą być przykre do czy-
tania z powodu ustępów, jakie
czytelnik znajdzie tu o św. Stani-
sławie. Zapewniam, że nie było
też łatwo pisać je; oprócz trudno-
ci rzeczowych niepokoila obawa,
czy się nie jest oszczerca, który
kała narodową świętość. Czytelnik
osądzi“.

„Episcopus traditor“ — biskup
zdrajca, to określenie Galla z jego
kroniki staje się dla autora „Szkic-
ców“ punktem wyjścia. Snuje
przed oczyma czytelnika śmiałe hi-
potety udowadniające, że przez
zdradę św. Stanisława stracił Po-
lesław tron i musiał iść na wygna-
nie. Usprawiedliwia jego mord i
ostro krytykuje kronikę Kadłubka,
który stając w obronie męczenni-
ka, potępił ostro króla. Wojcie-
chowski całkiem słusznie krytyku-
je kronikę mistrza Wincentego.
Świątobliwy biskup, a w ostatnich
latach życia mnich jedrzejowski-
go klasztoru, był, niestety, mar-
nym dziejopisem i w morzu pięk-
nych słów, których zagranicą się
naczytał, topił całą prawdę i isto-
tę poruszanych problemów. Nie
dzw więc, że całkiem groteskowo
wypada w jego kronice sprawa św.
Stanisława. Zamysł rzetelnej pra-
wdy historycznej dawał często
garść plew i nieużytecznych wi-
adomości. Karol Polkański w liście
do Hieronima Łopacińskiego pisze:
„O kronice M (mistrza — przyp.
mój) Wincentego pisało wiele, bo
to jedna z najbardziej jałowych
kronik, które są czerzą i pustą fra-
zeologią zastępując wszystko. Wszy-
scy historycy się na nią karzą i
irytują“⁵⁾.

W R. 1909 „Przegląd Powszech-
ny“ wystąpił na swych la-
mach z dyskusją zredagowaną
przez Krotoskiego, której uczestni-
cy ostro, choć nie zawsze rzeczowo,
rozprawiali się z wywodami Woj-
ciechowskiego. Dyskutaneli spotka-
li się z repliką autora siołatej ten-
rii, wydrukowaną w Kwartalniku
Historycznym pod znamiennym i
ciętym tytułem „Plemię Kadłub-
ka“. Jest to w najmniejszym po-
dobnie jak i w drugim wydaniu, je-
dnasty a zarazem ostatni szkic.

Cztery zdania, które zacytuje do-
skonałe tłumaczka naukową pod-
stawę Wojciechowskiego.

„Kronika Galla, źródło naczelne,
jest św. Stanisławowi nie tylko ze
nieprzychylna, ale stanowczo wro-
ga; o tym nie może być dwóch
zdani; a dowodzić jego świętości
na podstawie tej kroniki to sprawa
daremna. Ale jest inna rzecz:
mogą się znaleźć nowe źródła hi-
storyczne, które zadadzą kłam
Gallowi; nie zaprzeczy temu za-
den trzejący historię, nie ma za-
tem powodu do zaniopokojenia o
kult, który trwa od półtora wie-
ku, a zrosł się z tradycją narodu
tak mocno, że już zaginać nie mo-
że. Ale powtarzam: dowodzić św-
tości Stanisława na gruncie kro-
niki Galla to rzecz marna, bo nie-
naukowa; a jeżeli moi przeciwni-
cy podjęli niniejszą dyskusję w ta-
kim zamiarze, osiągną raczej prze-
ciwny skutek. Lepiej było nie za-
czynąć“.

Dziś, przy posuniętych naprzód
badaniach, sprawa św. Stanisława
będzie się nam nieco odmiennie
przedstawiać. Wybitny znawca
Galla prof. Marian Plezia, w arty-
kule ogłoszonym w r. 1950⁶⁾, pi-
sząc: „Upadnie wedle wszelkiego
prawdopodobieństwa teza o „zra-
dzie“ biskupa. Trzeba bowiem z ca-
łym naciskiem przypomnieć, że
nie ma w źródłach żadnego dowo-
du ani wskazówki na to, aby miał
się on znosić z Niemcami lub Cze-
chami“. Stwierdza dalej prof. Ple-
zia, iż „pogląd reprezentowany w
swoim czasie z takim talentem
przez Wojciechowskiego dojrzewa
coraz bardziej do rewizji“. Czy się
kiedyś doczekamy właściwego i peł-
nego oświetlenia tej ciemnej spra-
wy — nie wiadomo. Ubóstwo źró-
deł wciąż staje temu na przeszkod-
zie.

Trudno jest w krótkim artykule
wyczerpująco omówić książkę Woj-
ciechowskiego, gdyż zawiera masę
problemów, już zresztą i tak przez
licznych dyskutantów przetrawio-
nych. Jeszcze tylko parę słów o
nowym wydaniu „Szkiców“.

Państwowy Instytut Wydawniczy
puszczając na rynek księgarski
5350 egzemplarzy książki zrobił
piękny prezent miłośnikom śred-
niowiecznej historii. Starannie wy-
dana, będzie nie tylko miłą lekta-
rą, ale i ozdobą bibliotek „młó-
w książkowych“. Cieszy oko okładka
z motywem ornamentu z ażurowej
okładziny rogowej z XI wieku, zna-
lezionej w r. 1949 w Gieczu, podo-
bają się dobre zdjęcia w liczbie 28
— trzeba podkreślić — dobrane
bardzo trafnie, pokazujące czytel-
nikowi zabytki sztuki (śliczne
zdjęcie kolegiaty św. Marcina w
Opatowie, opactwo benedyktyńskie
w Megilnie i Tyńcu, krypta św.
Leonarda na Wawelu, klelich z
XII wieku), piśmiennictwa (Codex
Gertrudianus, kronika Galla, do-
kument Władysława Hermana)
i ud. Dobry wstęp Gieysztorą oraz
uzupełnienia bibliograficzne na
końcu książki są udanym dopeł-
nieniem głównego zrebu tekstu.

Szeregi młodych adeptów historii
będą nieraz pochylać się nad
„Szkicami“ Wojciechowskiego i
wsluchiwać się w szept średnio-
wiecznych źródeł, ciężkich do str-
awienia i zrozumienia. Młody umysł
będzie z trudem pokonywał zawile
wywody autora, a pokonując je
znajdzie zadowolenie i zachętę do
dalszej owocnej pracy. Klasyk pol-
skiej historiografii Tadeusz Woj-
ciechowski będzie dla młodego hi-
storyka dobrym przewodnikiem i
nauczycielem na trudnej, ale jak-
żeż pięknej drodze.

Józef Dużyk

¹⁾ Tadeusz Wojciechowski, Szkice historyczne jedenastego wieku. Wydanie trzecie. Przygotował do druku i wstępem poprzedził Aleksander Gieysztor. P.I.W. 1951. Str. 301 nłh. 3. Ilustracji 28.

²⁾ Jan Parandowski, Tadeusz Wojciechowski. Tygodnik Powszechny, nr 227, r. 1949.

³⁾ J. Parandowski, cyt. artykuł.

⁴⁾ T. Manteuffel, Rola cystersów w Polsce w XII wieku, Przegl. Hist. t. XII, r. 1950, str. 180-202.

⁵⁾ Korespondencja Łopacińskiego Bi-
blioteka PAU rkps 2273 II, 2.

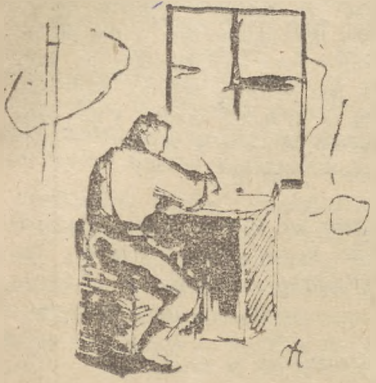
⁶⁾ M. Plezia, Problem św. Stanisława
biskupa, Homo Dej 1950, nr 6.

Janusz KOZŁOWSKI

A U T O P O R T R E T

rys. J. GORAZDOWSKI

P OCHYLONY nad stołem, dziobiac prawie nosem w otwartym zeszyte. Zawzięcie wodził piórem po kratkowanym papierze. Od czasu do czasu mętno-niebieskie oczy krótkowidza kierował w bok, ku oknu, za którym plamy słońca kładły się na asfalcie podwórza, klon



zółknąć zaczynał jesiennymi liśćmi i chwycił się naprzeciw lufki błyskawicy oslepiająco. Potem znów wzrok powracał do przerwane-go na chwilę zajęcia. Koledzy chodzili wtedy na palcach i starali się nawet względnie cicho zachowywać. Literat przecież. Ich literat. W takich momentach nie był ani zwierzchnikiem, ani towarzyszem. Stawał się dla nich czymś wyższym i nieosiągalnym, choć sami sobie może nie zdawali dobrze z tego sprawy. Wiedzieli tylko, że nie powinni mu wówczas przeszkadzać. Puszyli się potem dumnie przed innymi plutonami, batalionem, ba, przed całym zgrupowaniem, jak to czyta im swoje utwory, w których jest i Kazik grający na organkach i Irka, która pod obstrzałem wyniosła rannego sierżanta „Baka” z atakowanej Politechniki, i Stefan — ten z krzyżem walecznych i wszyscy, wszyscy, nawet dziesięcioletni łącznik „Zaba”.

Dzisiaj jakoś ciężko szło to pisanie. Wzrok częściej błądził bezmyślnie po zaokienym świecie, niż spoczywał na zapisanych niedbałym piśmem stronicach.

„Dopiero dwie kartki” — szeptał do siebie ciekawscy, zaglądając nieznacznie przez plecy literata.

Dla nich zawsze tempo i ilość były miernikiem talentu i umiejętności. Istniał co prawda w trzeciej kompanii osobnik o pseudonimie „Brona” — poeta, który słuchając jak mówili między sobą, że ich „Litawor” w tym dniu napisał „aż piętnaście stron nie kreśląc zupełnie” krzywił pogardliwie wargi i mruzczał:

„Taki to i literat z Koziej Wólki”. Ale zaraz „gasili” go chórem wzburzonych głosów:

„Jeden wiersz na tydzień poci i głos zabiera”.

„Poetnik zafajdany”.

„Więcej kreśli niż pisze”.

„Zazdrości, to i gada”.

Cichł więc niedopuszczony do słowa, ale zjadliwy i drwiący uśmiech nie opuszczał jego twarzy.

Próbował nawet bezpośrednio wpłynąć na „Litawora”. Wytykał mu niedbalstwo stylu, bezkrytyczność, tanie efekciarstwo i (lagodne obchodząc samo słowo) niebezpieczeństwo grafomanii, zniżające się coraz bardziej nad jego głową. Ale pewny siebie literat nie przyjmował początkowo uwag do serca.

„Pięć, jak chce, a wskaznikiem wartości zapisywanych kart jest ilość słuchaczy każdego wieczora. Zresztą potomność osadzi, kto miał rację” — dodawał z nępowół troiczną nonszalancją.

„Uważaj, by cie ta potomność nie wrzuciła do kosza razem ze śmieciami” — przedził poeta zniecierpliwiony ślepym samozwaństwem kolegów i literat odchodził

urazony w swej dumie i ambicji.

„Zastanów się przecież — usiłował perswadować innym razem poeta — pisanie to nie jest zabawka. Nie należy go traktować rozrywkowo, bo mało będzie warte”. Chcąc dobrze tworzyć, trzeba wiele przed tym przeczytać, mnóstwo rzeczy przetrwać, nauczyć się obserwować, umieć myśleć. Sam talent nie wystarczy, by wyjść poza dyletantyzm. Praca to główny fundament twórczości. Poczytaj o stylistyce, naucz się gramatyki, siedź uważnie budowę zdań i konstrukcję powieściową najlepszych pisarzy, a potem dopiero bierz pióro do ręki. To, że co dziesiąte słowo u ciebie jest g..., a co pięćdziesiąte d..., nie licząc pomniejszych mord, facjat itp., nie znaczy jeszcze, że dajesz coś nowego i piszesz realistycznie. Inni już przed tobą użyli tych wyrazów z powodzeniem lub bez, ale przecież nie to stanowiło o ich zdolnościach czy braku talentu. Zgadza się. Chłopakom odpowiadają twoje wysiłki literackie, bo sami wychowani są na płytkiej kryminalistyce czy beznadziejnej kowbojomanii, których dalszym ciągiem jest pisana przez ciebie reportażowa powieść. To już wina minioniej epoki i nieumiejącej im dać zdrowej i interesującej książki. Jednak jeżeli sam oderwiesz się od tych (przepraszam za szczerłość zbyt może nieprzyjemną) bzdur pociągniesz za sobą innych, bo jesteś już dla nich swojego rodzaju autorytetem”.

„A widzisz”.

„Widzę, niestety widzę. Sam tylko pomyśl, czy czasem nie powinienes czuć odpowiedzialności za ludzi z twojej drużyny pod każdym względem, a więc i estetycznym?”.

„Oszalałeś?”.

Poeta machnął ręką.

„Pruski dryl tkwi w was wszystkich, jak zmurszały kołek w pocię. Żołnierz dla was to tylko podwładny, a nie człowiek Rozkazywać, ganiać, dowodzić... ot i wszystko. A wychowywać panie kapralu z cenzurą, wy-cho-wy-wać, to nie łaska? Czas już wyremontować maszynę mózgu i usunąć przestarzałe części, póki jeszcze nie za późno”.

„E, bredzisz”.

„Ślepcy i durnie — burczał odchodząc „Brona”.

Te słowa właśnie świdrowały uszy „Litawora” i one nie pozwalały mu skupić się przy pisaniu i wyprodukować normalnej ilości stron.

„A jeżeli on ma rację? Jeżeli rzeczywiście to co im czytamy jest trucizną dalej drażącą w ich nadtrutych i tak umysłach? Więc w takim razie szkodnik ze mnie i głupiec?”

Tu obejrzał się na zasmucone jego becznością grono kolegów. Przemknął jeszcze raz oczyma po ostatnio napisanych zdaniach:

„Rąbnąłem go kolbą w mordę. Zakwicział i zwał się jak kłoda na ziemię. Dookoła latały kule, ale żadna nie trafiała. Biegliśmy dalej. U wejścia do budynku Kazikowi wskoczył pod nogi granat. Chwycił go za trzonek, lupnął w łeb wybiegającego cesmiana i wyrzucił przez okno z powrotem. Straszliwy huk i okropne jęki z wewnątrz dały nam znać, że załoga rozbebeszona. Z krzykiem „Hurra!” wpadliśmy do budynku”.

Twarz mu się trochę rozpogodziła. Jeszcze przeczytał Tym razem zniechęceni wykrzywiło kącki ust i zmarszczyło skórę koło oczu. Zamyślił się. Sam już nie wiedział, czy to co napisał ma jakąkolwiek wartość, czy żadną.

„Ostatecznie — próbował argumentować — Brandt i Baxter tak to opowiadają niestworzone historie o swoich bohaterach...”.

Tu znów głos „Brony” zagłuszył wszelkie myśli:

„Wychowani na kryminalistyce i kowbojomanii nie widzą miernoty i szkodliwości twoich wysiłków literackich”.

Z westchnieniem zamknął zeszyt. Był zły na siebie, na chłopców, na poetę, na cały świat. Spokój i samozadowolenie z pracy pisarskiej skończyły się bezpowrotnie. Nie mógł już tworzyć tak beztrudnie i płynnie jak przedtem. Drużyna patrzyła z wyraźną dezaprobatą na swego dowódcę. Wieczorne czytanie zapowiadało się bardzo mizernie. A tak na nie czekali.

Jednak wieczór mieli zajęty czym innym. Wysłano ich na patrole zrutowe w różnych punktach zgrupowania. „Litaworowi” wraz z czterema podkomendnymi dostał się róg Marszałkowskiej i Koszykowej, naprzeciw Bracl Pakulskich. Główna arteria miasta płonęła na całej swej długości od placu Unii do ogrodu Saskiego. Ciemne miejsca wskazywały na ocalałe lub już wypalone odcinki. Noc była chłodna, ale pochodnie gorejących domów uczyniły ją ciepłą. Fale rozgranzonego powietrza owlewały twarze, zwęglone płyty druków fruwały dokoła, sadze zaściełały wszystko czarną warstwą, iskry nieprzeliczoną ilością drobniutek, świecących punkcików pokrywały niebo mieszając się z gwiazdami, chmury dymów pełzały leniwie wzdłuż przecznicy. Właśnie plomien przetrzucił się na pobliski budynek.

„Będzie nam ciepłej” — zaśmiał się „Karp”.

Spojrzeni na niego z niechęcią. Twarz skurczona w bezmyślnym uśmiechu wyglądała się i przybrała wyraz powagi i pewnego zażenowania. Milczeli. Dokoła tylko trzask ognia, nagły rumor walących się pięt, świergotliwy świst rzadkich pocisków, gwałtownie rwące uszy wybuchy i znów strzelanie plomieni. Z roziskrzonego nieba spływał na nich monotonny terkot „kukuruźnika”, ku któremu z pozycji nie



mieckich wybiegały różnobarwne paciorki pocisków. Potem dolaływał stukot serii i znów marowo pracował silnik „terkotki”. Czasem na oświetlonym lunami niebie zjawiało się widmo spadochronu chwiało wahadłowo różowiejąc coraz bardziej w blasku pożarów i zniknęło za domami. W ich rejonie nic dotychczas nie upadło. Bezczywność zmuszała do myślenia, niesamowitość otoczenia pobudzała wyobraźnię. „Litawor” spoglądając na mrowiące się wokół iskry uprzytomnił sobie, że są one podobne do myśli rojem tłoczących się w mózgu. Albo może i na odwrót. I zarazem przyszło mu do głowy, że chyba warto by porównanie zapisać, ale nie miał czym ani na czym oparł się więc o resztki rozbitnej bramy i patrzył.

„Tego niepodobna zapomnieć” — powiedział jeden z chłopców.

Oczy jego świeciły odbitym blaskiem, szeroko otwarte i chłone z nienasyconą pożądlivością i

kimś zdumionym przerażeniem obraz ginącego miasta. Z przeciwnego, zajmującego się ogniem budynku, wypływał począł długi potok uciekających ludzi. Szli z tobołkami na plecach, z walizkami, wózkami. Milczący pochód istot pędzonych przez wojnę z kąta w kąt bez nadziei zatrzymania się gdziekolwiek na stałe. Z okien wyrzucono niezabrane jeszcze pakunki. Nie gasił prawie nikt. Nie było już czym. Dwóch ludzi z patrolu posłał „Litawor” do pomocy słabszym. Fała ludzka przelała się przedko obok nich. W płonącym budynku zostali jeszcze nieliczni ratujący swoje mienie i licniejsi grabiący cudze.

W otwartych drzwiach sklepu ukazał się „Karp” z naręczem butelek. Za nim kroczył rozważnie „Lelek” z takim samym ciężarem w ramionach. „Litawor” chciał zabronić, ale zrezygnował. Ostatecznie cóż szkodzi, że i a kwaterze będzie trochę wina? Stos butelek rósł.

„Pomożcie nam — wołał „Karp” — mamy jakąś skrzynię, ale nie możemy jej rozbić. Chodźcie”. — Zaciekawiony literat zapomniał chwilowo o obowiązku patrolowania i poszedł zobaczyć. Wspólnie uparli się z otwarciem bardzo szybko. Ukazała się słoja, potem warstwa smat i latarka oświetliła częściowo odsłonięty portret mężczyzny, a raczej tylko jego głowę.

„Choroba, myślałem, że szampian” — rozczarował się „Karp” i dalej, myszkował po piwnicy szukając wina. „Litawor” miał zamiar wychodzić, ale znowu wrócił i skierował powtórnie reflektor latarki na obraz Odgarnął resztę słomy.

„Ciekawa głowa” — zaszeptał. „I malarz jakiś niepowszedni”. Spojrzał na podpis. J. Simmier plnx. Powoli przeniósł spojrzenie na twarz patrzącą z portretu. Wydała mu się znajoma, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ją widział, ani kiedy. Jeszcze raz przeczytał nazwisko malarza. I ono nie było mu obce.

„Chodźmy, bo nam się pietra na łeb zawała. To jakaś stara ruderka” — krzyknął wychodzący kolega. Ociągając się szedł po schodkach. Dym zaczął już wiercić w nozdrzach zapełniając dolne pomieszczenia. Temperatura podniosła się. Stojąc koło ustawionych szeregami butelek spoglądali na ogarnięty ogniem dom. „Karp” odbił korek.

„No, wypijemy chyba. Aby...” „Nie teraz, rzuc to — gniewnie zawołał „Litawor”. Tamten zdziwiony i zaskoczony upuścił butelkę. Wino popłynęło strugą na chodnik. „Simmier, Simmier” — powtórzał w myśli literat. Huk plomieni rósł. Górna część domu objęta była nimi całkowicie.

„Wiem...” — krzyknął nagle Dignęli jak przebudzeni i oderwali wzrok od palającej się kamienicy by spojrzeć na niego.

„To współczesny Matejce” — dokończył swą myśl.

„Co?”.

„Ten obraz”.

„Ten w piwnicy? Matejko? O rany” — zawołał „Lelek” i pedem wpadł do drzwi sklepu. Paliło się już pierwsze piętro i pożar zstępował na parter.

„Wariacie!”

„Stój!” „Dokąd” — poleciały za nim okrzyki. Ani się obejrzał. Po patrzyli po sobie bezradnie. Nawet obojętni na wszystko ostatnie uciekinierzy zatrzymali się na chwilę spoglądając na drzwi, w których chłopak zniknął.

„Musze mu pomóc. Gotów by znaleźć. To przeze mnie” — mówi nerwowo „Litawor”.

„Zaraz pietra runą. I ty zginięsz” — wstrzymywali go. Nie po

słuchał. Za chwilę wszedł za tym. Dym gryził oczy i dusi. Ledwo namacał wejście do piwnicy, z której słychać było gwałtowny kaszel „Lelka”. Plomienie poczęły ukazywać się w sklepie. Zjechał na dół i przewrócił z rozpędu tamtego.

„Gdzie obraz?” — dobiegł go zduszony i ochrypnięty głos.

„Tam był. Pod ścianą”. Pluca nie mają czym oddychać, oczy pieką, ból w piersiach, głowa kamienna. Po omacku idzie naprzód. Jest. Ręka uchwycił brzeg skrzyni. Wyciągnął obraz i ruszył ku wyjściu zasnutemu obłokiem dymu.

„Mam” — chrypiął. Nogi obsuwały się po stopniach, kolana gęły pod niezdolnym ciężarem ciała. „Lelek” chwycił go za kurtkę, ścigała na dół. Znowu rozpaczliwie chwytając zaczadziłe powietrze obolałymi płucami, pna się do góry poinagając sobie i przeszkadzając



zarazem. Nareszcie. Jeszcze kilka kroków. Języki plomieni wystrzelała poza drzwi sklepu. Zataczał się, oslepił i na wpół uduszony wychodził. Obraz niosą razem w kuczowo zaciśniętych palcach. Radonoś dłoń kolegowi podtrzymują ich chwiejne kroki. „Lelek” nieprzypadkiem leci przez ręce. „Litawor” czuje, że coś mocnego i słodkiego zarazem leją mu do ust, na twarz, za karkiem. Krztusi się i wypływa płyn na towarzyszy, na mundur. „Lelek” obłany winem otwiera oczy i zdziwiony patrzy na wszystkich. Literat usiłuje się podnieść, ale opada z powrotem. Kilka chwil patrzają obaj na siebie z uśmiechem. „Bronie”, który właśnie wracał ze swoim patrelem, zaskoczył ten uśmiech. Spoglądał to na jednego, to na drugiego, na szeregi butelek z winem i mrugał oczyma.

„I dlatego wy obaj...” — złość w nim nagle wezbrała. Wzrok zatrzymał się na opartym o mur obrazie. Jeszcze raz popatrzył na uśmiechających się, zlanych winem chłopców. Potem znów wpił oczy w obraz.

„Wiesz „Litawor” — zaczął zupełnie innym tonem, ale także nie dokończył. Chciał powiedzieć, że nie spodziewał się po nim takiego czynu i w ostatniej chwili pobamował język. Tamten jednak zrozumiał.

„To on — wskazał głową na bratego „Lelka” — ja po niego poszedłem”.

Poeta kiwał głową.

Dosyć dziwnie wyglądał powrót patroli zrutowych na linię Noskowskiego. Jako trafca zazwyczaj one dwóch ledwo przetrwałych ludzi, obraz i znaczącą ilość butelek.

Następnego dnia opła dżużana wraz z zaproszonym „Bronie” i dwoma łączniczkami obławili szeregówie zakochanej rabinę obrazu. Był to naturalnie orest, do którego cia większej ilości wina, a ka da okazała jest przecież d bra. Myśle że z taka sama pomna oresto by pamięć „nieczonych” bohaterów nieudanej wyprawy. „Lelek” nie mógł przeboleć, że to nie Matejke (Dokończenie na str. 11)

Bronisław NOWICKI

O POEZJI JANA HUSZCZY

PRZEDWOJENNA poezja Jana Huszczy chodziła głównie trzema drogami. Pierwsza i najcharakterystyczniejsza z nich — to droga liryki refleksyjnej o wzdźwięku prawie zawsze pesymistycznym, druga była drogą swojskiego pojęcia, tak modnego w latach trzydziestych — katastrofizmu, a trzecia — inteligentno postępowej solidarności z wyzyskiwanym chłopem. Są to dość charakterystyczne drogi dla wileńskiej grupy Zagary-Piony skupiającej postępowych poetów, między którymi znalazł się także Huszcza. Grupa ta wydała poetów bardzo zróżnicowanych pod względem talentu, techniki poetyckiej głównie pod względem stopnia postępowości.

Huszcza reprezentuje średnio po-

*...odchodzić żalem wracać krzykami,
podając — ziemi dotykać czołem
i znów siłę wyznawać ramion
poto, żeby garść popiołu —*

Poczucie beznadziejności życia, świadomość pustki i nieadekwatność ówczesne, rzecz wistota: w stosunku do marzeń i pięknych słów — jest podstawą filozofii życiowej poety w latach przedwojennych. Filozofia ta przeja-

*...były kwitujące wzgórza jablonkowe
podczas, gdy, brzegami wieczoru szła gorycz —
az nazwał samotną
truskala ze świeżo naciętej kory.*

Najbardziej bezpośrednim wyrazem pesymistycznej filozofii poety są wiersze katastroficzne. Katastrofizm, tak charakterystyczny dla poetów dwudziestolecia, święcił największe triumfy właśnie wśród żagarowców u każdego w swojej odmianie. Katastrofizm Huszczy nie przejawia się w irracjonalnych obrazach kosmicznych katastrof jak u Zagórskiego, ani nie jest tak realistycznym obrazem — przepowiednią wojny imperialistycznej, jak w niektórych wierszach Bujnickiego. W twórczości Huszczy znajduje ten prąd stosunkowo słaby oddźwięk. Jest tylko bardziej żywiołową kontynuacją pesymistycznego nurtu jego liryki, konsekwentnie-

*...Ale jest jeszcze inna muzyka: stalowe hagnety
i tupol nóg, wzgórzami idących po śmierć i po ranę."*

Katastrofizm Huszczy jest więc konglomeratem scharakteryzowanych wyżej „ucielesnień” tego prądu w twórczości Zagórskiego i Bujnickiego — podanym w formie złagodzonej.

ZUPEŁNIE odrębną kategorię stanowią wiersze o tematyce społecznej. Jest ich bardzo niewiele: „W przedwiośniu”, „List do wsi”, „Od wrót”, pewne akcenty w wierszu „Cwiecino” — to chyba wszystko. Znajdujemy w nich kilka obrazów nędzy chłop-

*Idziemy
syczą ziemia
zapora ścieżek krętych i stromych
Ale wiemy: nam ją ujęć w relorty przemian:
porośnie w powietrze i światło zasobne domy.
(„W przedwiośniu”)*

Biorąc pod uwagę trzy omówione nurty i ich wzajemny stosunek bilans poezji przedwojennej Huszczy, można by zamknąć cytatem z wiersza „Twoim sdom” tłumaczącym katastrofizm i pesymizm humanitarnie nastawionego poety — wznagającym się chaosem i beznadziejnością ówczesnej rzeczywistości:

*Poeta przed ciemnością się bronil
huczały czarne tabuny koni,
wicher strachu się zrywał
czarno rósł w czarnych grzywach*

TESKNOTA ZA ZIEMIĄ MŁODOŚCI

OKRES wojenny — to okres zupełnie odrębny w twórczości każdego pisarza, zwłaszcza gdy jak u Huszczy za natchnienie służy nostalgia. Dorobek wojenny reprezentuje głównie tomik „Pamiętnik liryczny” (Lublin 1945). Wiersze w nim zawarte

stepowy nurt Żagarów. (mowa tu o poezji przedwojennej) Świadczy o tym chociażby przewaga pesymistycznej liryki osobistej nad stosunkowo niewielką ilością wierszy o tematyce społecznej.

Dla pierwszej (refleksyjno pesymistycznej) drogi poetyckiej Huszczy charakterystyczne są wiersze: „Po śmierci przyjaciela”, „Odjazd”, („Złote gwiazdy nad lasem: gasnące westchnienia”); „Ballada o podróznym” („...mety oddala dym dym dym); „Gwieździe” („...proszę gwiazdo zła, gwiazdo zgaśnij”); „Po dancingu”, „Twoim sdom” i najbardziej reprezentatywny — „Wiosny witać promieniami uśmiechów”:

wiała się w rozmaitych formach poetyckich. W omawianych powyżej lirykach występowała bardzo często w połączeniu z motywami przyrody. Charakterystycznym przejawem tego połączenia jest wiersz „Twoim sdom”:

szym wyciągnięciem wniosków z filozofii życiowej poety — w dobie zastraszających się przeciwieństw imperializmu. Jest to czyste opisanie normalnych zjawisk atmosferycznych jak burza lub śnieg, podniesionych do rozmiarów niemal kosmicznych dzięki efektem w rodzaju: „sądów podpalających powietrze pożarem zapachów” i „pokojów zarastających krzakami strachu” („Miasteczko”) lub „Włócznie lodu otwierających oczu krwawiącą ranę” („Ślepnięć w śniegu”). Inny wyraz nastrojów katastroficznych — to wzięcia wojny zmierzona ze wspomnienia w zapowiedź, charakterystyczna także dla innych prócz Huszczy katastrofistów:

*Budzą się wieje jak co dnia:
Kminy cicho szepczą dymami
Mgłą zasnuwają białe podwórza*

*Chłód tuli nędzą pól zniszczonych
Opięte ramiona*

Wyrażająca się w tych wierszach postawa autora — to postawa odczuwającego wyzysk — inteligenta, zaznaczającego od czasu do czasu swą solidarność z wsią, której przeznacza (w bliżej nieokreślonej przyszłości) rolę budowniczą nowej Ojczyzny:

powstały w większej części w Kazachstanie lub nad Oką między rokiem 1940 a 1941. Zaśledzić kilka ostatnich — w Lublinie w 1944 r. W wierszach tych nie znikają wprawdzie wszystkie dawne tematy (krajobraz wiejski wspomnienia młodości), zmienia się jednak zupełnie ich wymowa. Kontemplacja przyrody — ustępuje miejsca „sielskiemu” obrazowi Ojczyzny. Egzotyczna przyroda Kazachstanu nie znajduje wyrazu w wierszach, gdyż na stepach majaczą się pocie małwy i brzozy:

*Brzozy nad sławem zamyślonej
nie spotkasz w kraju tym
do malw u płotu zostawionych
step piaskiem zawiał rym.*

(„Notatki” — 1940)

Wojna niesie ze sobą podniesienie temperatury uczuć patriotycznych, nie-

nawieść do wrogów i chęć walki. Dopuszcza również do głosu sentymentalizm i wzmożone uczucia rodzinne. Wszystkie te tematy znajdowały prawo obywatelstwa w twórczości różnych poetów, różnych krajów i różnych epok. Są zupełnie naturalną i zrozumiałą reakcją poetycką na okropności wojny. Nie można więc mieć pretensji do Huszczy, że poświęcił im większość swą twórczości wojennej. Kryje to jednak w sobie poważne niebezpie-

*„Julia poszła do nieba, gdyż przykładowie żyła.
Wiem, że żyła w tęsknocie, do Polski wróciła.”*

(„Na śmierć Julii”)

*„Z tych ziemianek, snów i kopci
Na spotkanie polskiej ziemi
Będzie wymarsz zbrojnych chłopów.
Boże trzymaj straż nad nimi.”*

(*** 1944)

Można mnożyć niemal bez końca takie przykłady na prymitywizm poetycki będący właściwie zbiorem bardzo już wytartych banalów. Ale to jeszcze nie wszystko. Zacytowany ostatnio wiersz jest klasycznym przykładem wyciągnięcia jak najdalszych konsekwencji z „prymitywizacji” w poezji powszechnych uczuć patriotycznych. Wyraża się to w zupełnym spłygnięciu tematu z winy ujęcia go w formę bądźmy szczerzy — bogoczytanej piosenki wyciągniętej z lamusa poprzedniej wojny:

„Wiosno pięta ziść nadzieję!

*Łka w piosence: „Wróć... ucałuj...”
Nad piosenką samoloty”*

(*** 1944)

Z tego samego lamusa pochodzi „Pieśń o Rzeczypospolitej”. Są tam „Wierni synowie Rzeczypospolitej”:

*Dzisiaj daleka —
trwasz męką i bólem w brzożowym szumie.
Tu — nad Irlyszem, nad piękną lecz obcą rzeką —
Ciebie pozdrawiam, ciebie na pamięć umiem*

(„Dla inwokacji”)

*I nie przeczuwał rocznik
Wisłom uległy lub Niemnóm,
że mądrość księzek nie wszystkich jednoczy,
że obok zbrodni hoduje ciemność,
że komuś krew cudza potrzebna i zgłiszczą,
że ktoś świat uśmiechnięty chce zniszczyć.*

(„Rocznik 1923”)

Urywek powyższy charakteryzuje jednocześnie postawę poety — jest to postawa dość ogólnie pojęta, lecz głęboko humanitarna. Około roku 1943 — humanitarny poeta znajduje wyjście z zamkniętego kręgu tęsknoty i typowo emigranckich nastrojów („Upał”, „Biała pora” — nawroty przedwojennego pesymizmu zasilonego

*...Lecz, wdowo najsmutniejsza, synek Ci dorasta
To dla synków i córek, to dla nich jedynych,
Żeby, gdy burza przejdzie mogli żyć bez winy
Architekci przyszłości, konstruktorzy szczęścia
W świat idący z uśmiechem, bez miecza i pięści.*

Optymizm ten jest zapowiedzią przełomu twórczości Huszczy. Pomostem między dawniejszą a powojenną twórczością.

POEZJA AFIRMACJI ŻYCIA

PRZEŁOM ten nie dokonał się tak od razu. Początkowo ulegał poeta obsesji wojennej — chorobie

*Na niebie młodzik jak podkowa
Co leciała spod kopyta...
Cóż, kiedy ze mną smutna wdowa
I ja o wielu próżno pytam...*

(Przed nami leśne...)

Przełom, gdy się dokonywał, jest dość zasadniczy. Weźmy dla przykładu „Zwrotki o Łodzi”:

*Mieszkalne bloki, szersze ulice
stają się prawdą Słoków i Batul!*

*...Kto mówi, że się nie tu nie zmienia,
niechaj przyjdzie i niech zobaczy!
Gdy wiatr w wieczornych drzewach szeleści
Księżyc na dachy skacze z obłoków...*

A to co? — widać księżyc też zaczął podskakiwać dla zadokumento-

czeństwo artystyczne — pokusę uprzedzenia aż do operowania banałem. Tej pokusie, niestety, często ulegał Huszcza. Język jego poezji staje się w okresie wojny znacznie bardziej komunikatywny i bezpośredni (ze względu na „odintelektualizowanie” tematu i pozbawienie nacisku na wartości emocjonalne). To można z esz. i położyć mu tylko na plus, jednak wspomniana powyżej pokusa właśnie w tym miejscu odniosła zwycięstwo:

ko został zbudowany. Wśród powojennych wierszy Huszczy nie ma jednak ani jednego, który by mówił o jakichkolwiek trudnych czy problemach do rozstrzygnięcia.

Zmiana typowo pesymistycznej postawy cechującej poetę przed wojną — na optymistyczną jest zjawiskiem niewątpliwie dodatnim (Wszystkie powyższe zażyczenia — inoszą się do rodzaju tego optymizmu a nie do jego istoty). Postawa Huszczy po wojnie — jest postawą twórczą. Najlepszy dowód — to dobre wiersze z niej pochodzące: „Pocztówka z Wisły”, „Przedwiośnie”, „Nocleg”:

*Jest czas jak w wierszach o młodości
— może ja któryś świerk kołysze
Zadumy pełną i czułości...*

(Pocztówka z Wisły“)

*„W parowie jak w dzieży:
ferment czerwony młodej
choć pod wykretem zbitkami leży
śnieg próchnięjący od spodu!
ale już wkrótce co chłodne i mroczne
będzie słoneczne mieć epolety.*

(„Przedwiośnie”)

NIE da się zaprzeczyć, że to też optymizm i wiara w lepszą przyszłość — ale optymizm w znacznie lepszym gatunku. U Huszczy jest to twórcze nawiązanie do dobrych tradycji literatury wojennych (Co wcale nie znaczy, żeby Huszcza miał pisać tylko o przyrodzie). Lepiej jednak o wiośnie dobrze niż o P.O.M-ie źle Tym bardziej, że wiośnie nie nie zaszkodzi a P.O.M.owi może i to bardzo. Z szta można śmiało twierdzić, że poeta nauczył się pisać dobrze i o P.O.M-ie.

Wydany ostatnio przez „Książkę i Wiedzę” wybór wierszy Huszczy) dziełi się na trzy części: wiersze przedwojenne, wojenne i powojenne. Najobszerniejszy jest dział poezji wojennej (20 stron), najmniejszy — poezji przedwojennej (14 stron), wiersze powojenne zajmują stron 15. Jest to mój zdaniem niesłuszne. Poezja okresu wojny jest najsłabsza, zresztą został jej specjalnie poświęcony tomik „Pamiętnik liryczny” — natomiast nie wyszedł jeszcze żaden zbiór powojennych wierszy Huszczy, a więc tematycznie najbliższych i przez to najbardziej nas interesujących. Ilość wierszy powojennych zamieszczonych w tomiku wydaje mi się wystarczająca, nie należy się jednak z ich dobozem. Dla charakterystyzowania twórczości poety konieczne było umieszczenie przynajmniej dwóch wierszy katastroficznych. Słusznym natomiast jest uwzględnienie szeregu wierszy o tematyce społecznej, pominiętych w przedwojennym tomiku „Ballada o podróznym” (Wilno 1938). Wiersze najnowsze, mimo, że jest ich za mało, branie są tak, iż ukazują dość wyraźnie rozwój ideologiczny poety.

Na zakończenie dwa zastrzeżenia natury formalnej. Pierwsze skierowane do poety: dlaczego fragmenty wiersza zatytułowanego w tomiku „Pamiętnik liryczny” — „Ziemia młodości” — są umieszczone w zbiorze „Książki i Wiedzy” pod osobnymi tytułami w dziale poezji przedwojennej, lub zaliczone do wojennego cyklu „Wspomnienie”? To dezorientuje czytelnika chcącego sumiennie przestudiować twórczość poety, gdyż nie wiadomo kiedy właściwie dany wiersz powstał. Drugie zastrzeżenie należy chyba skierować do wydawcy, dlaczego mianowicie daty powstania umieszczane są tylko przy niektórych utworach, a nie ma ich wcale przy późniejszych wierszach powojennych? Przecież właśnie tam są one konieczne dla orientowania się w etapach ewolucji ideologicznej poety.

Bronisław Nowicki

Józef SZCZAWIŃSKI

PRZEGLĄD PRASY LITERACKIEJ

NEWRALGICZNY PUNKT

JEST rzeczą powszechnie wiadomą, że ocena nie zakończono jeszcze okresu w literaturze, że syntetyzująca krytyka tego okresu, zanim przybierze kształt książki, czy choćby postulującego artykułu, dojrzewa w kulisach literackiego światka, na dyskusjach, zjazdach, zebraniach. Ślady jej odszukać można również w szczególniejszych rozważaniach nad twórczością danego pisarza, a rzecz charakterystyczna, że ślady te bywają nieraz kamieniem obrazy dla mniej dalekowzrocznych zwolenników status quo w literaturze.

Artykułem takim, niewątpliwie syntetyzującym i postulującym, mimo krytycznego charakteru, jest publikacja Ludwika Flaszena pt. „Nowy Zoil czyli o schematyzmie” (Życie Literackie — nr 25 z dn. 6.I br.).

Pierwszą i zasadniczą przyczynę słabości artystycznej naszej młodej literatury powojennej upatruje Flaszen w schematyzmie: — „W ciągu dwóch z górą lat otrzyaliśmy do ręki sporo książek, tkniętych anemią schematyzmu. Nawet najlepsze i niewątpliwie osiągnięcia nowej literatury nie są całkowicie wolne od objawów tego schorzenia. Sprawa schematyzmu urosła do rozmiarów jednego z naczelnych zagadnień jej pomysłowego rozwoju”.

Paradoksalne stwierdzenie, że schematyzm jest w omawianym wypadku chorobą wzrostu tłumaczy autor faktem: — „startowała ona (nowa literatura — dop. rec.) w warunkach dość niepomyślnych. Była spóźniona. Przemiany rzeczywistości wyprzedziły o morze problemów jej pojawienie. Kiedy przyszedł czas na literaturę, trafiła na gotowe formuły. I najczęściej na nich jedynie poprzestawała. Pośpieszając twórczyli ją pisarze o wąskim inteligentnym kręgu doświadczenia społecznego, albo młodzi debiutanci, ludzie, którzy już znali problemy z ich rozstrzygnięciem ideologicznymi, a jeszcze nie znali z konkretnych obserwacji i doświadczeń terenowych”.

Nie małą winę ponosi krytyka, która: — „miała przede wszystkim formuły... Stworzono — zdaniem Flaszena — niebezpieczny precedens pochwał za sam materiał. Obróbkę artystyczną traktowano jako rzecz górną drugorzędą, odkładano ją na potem... Bagatelizowano własne krytyczne zastrzeżenia. Zapomniano o tym, że książki nowatorskie wymagają szczególnej czujności oceny, bowiem książki te nowatorskie tworzą szkoły. I noszą na sobie odpowiedzialność nie tylko za wartość tego, co sobą reprezentują, ale i za pomyślny rozwój tego, co zapowiadają. Stają się wzorem, klasycznym modelem błędów i zalet. Krytyka nasza uczyniła je tylko wzorem zalet. To przyczyniło się do rozpowszechnienia ich błędów. Stąd książki, wydane przed kilku zaledwie miesiącami, noszą typowe wady swych poprzedniczek sprzed dwóch lat. Także w literaturze niektóre choroby są dziedziczne”.

PODRÓŻE kształca. Nawet te dokonywane bez ruszania się zza biurka; podróże po szpaltach piem sprzed roku lub kilku miesięcy. Dlatego pozwolę sobie na małą dygresję i wspomnę o boju jaki atacał Zygmunta Lichniaka („Dziś i Jutro” nr 28-51 w artykule „Każdemu więcej niż mu się należy”) zaatakowany przez korespondenta Nowej Kultury podpisującego się kryptonimem ddt. „Gładziona wiodąca w dół — pisał Lichniak w odpowiedzi ob. ddt. — to gładziona łatwego hurra-optimizmu

mu pisarskiego”. Zresztą do „Obrachunków” Z. Lichniaka powrócimy jeszcze.

W rozdziale „Sprawa bohatera” pisze Flaszen: — „Bohater jest punktem szczególnie wrażliwym, uczulonym na działanie konwencji; a może tylko tu najłatwiej tę konwencję wytropić i zdemaskować. Schematyczny bohater — to coś, co w przeświadczeniu czytelnika obniża prawdopodobieństwo wydarzeń powieściowych, podważa prawdę głoszonych zasad. Walka ze schematyzmem jest walką o pełnowartościowość bohatera literatury”.

Papierowe postaci — tak sformułowano zarzut. Postaci żywe, plastyczne — tak sformułowano postulat. Ale poza te metaforyczne określenia mało kto wykraczał. Schematyczność bohatera uważano za wynik czysto warsztatowych niedomogów poszczególnych pisarzy. Zapomniano o tym, że błędy tak nagminne i typowe jak ten, mogą mieć także swoje źródło w samych założeniach”.

Schematyzm konstrukcji bohaterów nowej literatury bierze się, zdaniem Flaszena: — „Z niewłaściwego pojmowania postulatów typowości. Zamiast typowości wielu pisarzy uprawia socjologiczną ilustracyjność. Ilustracyjność — to kukućce jajo realizmu — polega na traktowaniu postaci wyłącznie jako obrazka ilustrującego szersze procesy społeczne. Postać zatracą swe rysy osobiste, nie posiada samodzielności jako indywiduum o jednej w swoim rodzaju psychologii i niepowtarzalnych kolejach losu”. I tu na chwilę zajrzyjmy do artykułu Lichniaka („Dziś i Jutro” nr 20 (286) „Kwartet powieściowy” — „Prawda o bohaterze negatywnym” czyli nad powieścią Jackiewicza „Jan bez Ziemi”), czytamy tam m. in.: „główny mentor książki, delegat Czajka, podobnie jak u Ryłskiego („Węgiel” — dop. rec.) razi papierowością. Przykra to sprawa, że ludzie o tak ważnej funkcji artystycznej i ideologicznej w powieściach polskich soc-realistów zrobieni są z tektury”. Słabość tych postaci wynika ma: „z braku dostatecznego wypracowania środków artystycznego wyrażania precyzyjnych przemysłów ideologicznych”.

Flaszen wymaga od pisarza pokazania procesów historycznych w przekroju jednostki, lecz jednocześnie autor rozprawki o schematyzmie żąda od literatury: „niech wykryje ich (tj. procesów psychologicznych — dop. rec.) motywy i ukazuje przebiegi psychologiczne. Sam proces — to dopiero punkt wyjścia”. A dalej: „Właściwa szansa pisarza otwiera się dopiero tam, gdzie rzeczywistość historyczna gubi się w spienionym nurcie osobistych porwołów i namiętności, intymnych doznań i przypadkowych gestów człowieka. Tam trzeba odnaleźć zagubioną nić prawdziwości historii. Wykazać, że przy padkowosci losów i działań ludzkich jest tylko pozorna”.

Zdaniem Lichniaka — „jednym z głównych grzechów literatury współczesnej, a zwłaszcza literatury, usiłującej realizować postulaty polskich teoretyków realizmu socjalistycznego, jest ciągle jeszcze niedostateczna troska i umiejętność w ukazaniu skomplikowanej prawdy wnętrza ludzkiego, ciągle jeszcze zbyt mały szacunek dla złożonych praw, rządzących „mechanizmem” przeżyć wewnętrznych, ciągle zbyt duża jeszcze nonszalancja w traktowaniu jednego z najistotniejszych elementów wiedzy o człowieku”.

OKREŚLAJĄC psychologię bohaterów współczesnych książek, twierdzi Flaszen, że: „Jej substancję, materię wewnętrznego przeżywania stanowią kategorie języka politycznego i społecznego. Dialektykę wewnętrzną postaci określa logika argumentacji czysto ideowej, nie przełamana w doświadczeniu subiektywnym, odarta z otoczenia sugestii, jakie narasta ją na rzeczach przez uczuciowe z nimi obcowanie...” Owa „psychologia ideologiczna” — czytamy dalej — nie jest błędem sama w sobie. Jest ona w pełni równoprawna, tylko nie dobrze, że poza nią nie mamy niemal innej. Krytyka zaś domagając się jasności klasowego i politycznego ustytuowania postaci, w następstwach praktycznych ku takiemu wyłączeniu typowej psychologii zmierza. Czyni ją — może sobie z tego nawet nie zdając sprawy — miarą absolutną i normą powszechnie obowiązującą. W rzeczywistości zaś, „psychologia ideologiczna” jest właściwością jednego tylko typu tematycznego powieści: powieści politycznej w sensie ściślejszym. Czyż postulowanie — w konsekwencjach — takiego tylko typu powieści, nie zuboża gatunkowej i artystycznej równorodności naszej literatury?”

Ilustracyjne wypaczanie typowości bierze się ze szczególnej aury tworzenia w naszych czasach, którą nazwałbym „dziecięcą chorobą jednoznaczności”. Przyczynami jednoznaczności są zdaniem autora cytowanego artykułu: „Po pierwsze — polityczne formułowanie... Po drugie — „wszystkoizm”... Po trzecie — happy end... Nasze książki zamiast mówić: żyć jest dobrze, mówią: żyć jest łatwo. Ich optymizm graniczy z beztroską. Pisarze zdają się zapominać o tym, że sztuka optymizmu jest najtrudniejsza ze sztuk: że waga optymizmu nie zależy tylko od siły odczuwania, lecz od dowodu, który tę siłę warunkuje; że optymizm, aby miał wartość wychowawczą przykłada, musi mieć swoją cenę: trud i ofiarę... Po czwarte — znowu sprawa bohatera. „Dziecięca choroba jednoznaczności” tu czyni zawsze największe spustoszenia. Bohater pozytywny ma budzić sympatię, negatywny — nienawiść. Cena tych uczuć jakże często staje się dla pisarza obojętna. Bohater pozytywny staje się wcieleniem wszelkich możliwych cnót — od szlachetności i odwagi do regularnie czyszczonej paznokci. Negatywny — upostaciowaniem wszelkiej ohydy, od lisiej przebiegłości do zapoczonej łysiny. Tak powstaje schemat czarno biały. Mam wrażenie — pisze dalej Flaszen — że sprawa bohatera pozytywnego niewłaściwie na ogół dotąd była stawiana. Traktowano go dość abstrakcyjnie — w oderwaniu od konkretnego utworu, przede wszystkim zaś w ilozacji od jego bezpośredniego antagonisty — bohatera negatywnego. Tymczasem — jak możemy otrzymać przekonującego bohatera pozytywnego, skoro nie ma odpowiedniego partnera?”

Trudno polemizować z zdaniem, że — „wróg — to nie zawsze świadomy zbir i kanalia, którego postępowanie ma u swego podłoża pobudki natury czysto egoistycznej. Ma on niekiedy poczucie swej subiektywnej uczuciowości... Czy racja subiektywna uchyla wyrok skazujący? Nie, nie uchyla, ale przewód sądowy czyni pełniejszym, bogatszym, rzetelniej przeprowadzonym. Pisarza stawia wobec problemu większej wagi, niż wtedy, gdyby miał do czynienia z pospolitym, premisdytacją kierowanym rzekłbym. Zmusza do bardziej

subtelnych rozróżnień i bardziej zasadniczej argumentacji. Uściśla adres oskarżenia: kieruje je nie w człowieka, lecz w przestępstwo — w sprawę, której jest nosicielem”. — Wydaje mi się, że szczególnie ostatnie stwierdzenie, mimo iż wypowiedziane przez człowieka oceniającego rzeczywistość z innych niż nasze stanowisk światopoglądowych, jest katolickiemu pisarzowi i krytykowi szczególnie bliskie i zrozumiałe. Powyższe uwagi Flaszena prowokują do umieszczenia paru fragmentów z cytowanych już „Obrachunków ze współczesnością”. A więc, w sprawie „hurra-optimizmu” — „Główny błąd... wywodzi się ze skłonności ku uproszczeniu, powiedzmy szczerze ku spłyceńcu intelektualnych zobowiązań pisarza... Polega on na ułatwionym optymizmie, sugerowaniu fałszywej zasady „byczojestymu”, na symplifikowaniu wiedzy o rzeczywistości, na mechanicznym fałszowaniu jej stron negatywnych. Wyraża się to w takim zorganizowaniu fabuły, w takim uszeregowaniu i wyborze opisywanych faktów, w takim klimacie opisu, że jednym co pozostaje czytelnikowi, to — zatrzeć z zadowoleniem ręce i czekać na pieczone gołąbki, otworzywszy szeroko buzię” („Dziś i Jutro” nr 18 z dn. 6 maja 51 r.).

DO większych grzechów nowej literatury zalicza Flaszen bezkonfliktowość. „Bezkonfliktowość — to może paradoks w naszych czasach, ale tak jest. Mamy książki pozbawione niemal starą między ludzkich... Niedowład konfliktów lata się także przez wprowadzanie tak zwanego życia prywatnego, które ma ożywić nudę produkcyjną. Że niby bohater pokazany po za zakładem pracy, w domu i na zabawie, będzie bogatszy, pełniejszy, bo postawiony wobec nowych problemów, w pełnym wymiarze swej codzienności. Cóż, skoro byłoby ubogi i dwuwymiarowy w życiu „publicznym” — wątpliwe, by na brał plastyki w życiu prywatnym. I wątpliwe, aby miał tu ciekawsze i głębsze konflikty... A konfliktów w owych książkach jak nie ma, tak nie ma. I co pozostaje? Opis? Zamiast fabuły otrzymujemy chronologiczne uszeregowanie wydarzeń. Akcja toczy się godzina po godzinie, dzień po dniu, aż do pomyślnego końca. Z braku zindywidualizowanych bohaterów, z braku konfliktów, nie ma ścisłej klamry organizującej materiał powieściowy. „Uchwytem jednolitości” jest najczęściej sprawozdanie z działalności instytucji w pewnym czasokresie... I realizm oscylować zaczyna na śliskiej granicy, na której rozpóściera się królestwo naturalistycznej faktografii”. W konsekwencji — „realia, wyprane z nasilonych wokół nich mitów psychologicznych nie znaczą więcej nad swe znaczenie potoczne. Uruchamia się fabrykę, buduje dom — i co z tego wynika? Zbudowany dom, uruchomiona fabryka przestania wszystko, jakby była celem jedynym i ostatecznym życia człowieka na ziemi. Brak ich humanistycznego odnośnika...”

Bezkonfliktowość, którą tak słusznie piętnuje Flaszen, o międzę graniczy z bezproblemowością. Zaryzykowałbym twierdzenie, że jest właściwie bezproblemowością zamaskowaną. Twierdzenie to nasunęło mi się jeszcze przed lekturą artykułu Flaszena, przy czytaniu wspomnianych już wielokrotnie „Obrachunków”, z których jeszcze jeden urywek zamieszczam.

„Postulat maksymalnie odważnego wychodzenia naprzeciw zło-

zonym problemom wewnętrznych decyzji i wewnętrznych przełomów ludzi, uczestniczących w trudnym dziele tworzenia nowego ładu społecznego i nowego ładu świata, nie jest zamaskowaną namiętnością do powrotu ku maniackalnemu babranlu się w szczegółach; ku secesyjnej skłonności do tworzenia pozornych problemów, czy pozornych konfliktów. Chodzi o to, żeby literatura współczesna podjęła trud intelektualnego i artystycznego ukazania i wyjaśniania złożoności dziejących się przemian.

Czy literatura współczesna spełnia to zadanie? Czy narasta w niej trudny proces przenikania w mechanizm dziejów i mechanizm człowieka? Czy sprawy ludzkie znajdują w niej pełne, a nie tylko powierzchowne odbicie, uzasadnienie i wyjaśnienie?

Wielokrotnie wskazywałem niedostateczną w tym względzie troskę twórców współczesnych naszymi dniami. W literaturze naszej występuje niebezpieczna dla jej zadań konwencja zewnętrznosci, fałszywa opisowości, płytka satysfakcja fotografizmu literackiego. Wielu twórców skłonnych jest do poprzestawiania na mniej lub więcej artystycznym wykresie wzrastającej krzywej produkcji, nie starając się wnikać w mnóstwo istotnych, związanych z nią problemów, które tkwią w każdym człowieku, w każdym środowisku ludzkim, w każdej niemal pozornie jasnej i oczywistej sytuacji. (Zygmunt Lichniak „Tam, gdzie nie ma problemów” o powieści Hussarskiego „Nowy Mu”, „Dziś i Jutro”, 3 października 51 r. nr 40 (306)).

W sprawie — „happy end” — czytamy: „Niebezpieczeństwo to (tzw. wyrównanej linii — dop. rec.) polega na dążeniu za wszelką cenę do łatwego morału końcowego. Powtarzam: za wszelką cenę. Nawet za cenę poprawności artystycznej, za cenę prawdy psychologicznej, za cenę konsekwencji konstrukcyjnej... Od początku wiemy, że opis zamknie się stwierdzeniem pozytywnej ewolucji...” („Dziś i Jutro” nr 30 z dn. 29.VII. 51 r. „W kleszczach szlachetnej konwencji” — o pow. „Ludzie z rzeki” Lesława Bartelskiego). „Pobieżność dla błędów nie wydaje się namiejszcą — kończy Flaszen swe rozważania. — Byłaby dowodem nieufności w rzeczywistość, skoro jest istotnie tym co młode i co się rozwija — nie zaszkodzi nawet przejawskrawiona krytyka. A pomóc — niekiedy może”.

TYLE Ludwik Flaszen. Jeśli już zastosowaliśmy „metodę porównawczą”, zajrzyjmy raz jeszcze do n-ru „Dziś i Jutro” i doświadczmy cierpliwość czytelnika jeszcze jednym cytatem.

„Głównym błędem dotychczasowych osiągnięć jest zbyt jeszcze mechaniczny sposób tłumaczenia postulatów ideologicznych na język makiety, transparentu, a nie język artystycznej prawdy akcji, dynamiki zjawisk, czy wyrazistości ewolucji postaci typowych. Dopóki w powieści najważniejszy jej sens wypowiedzi będą ludzie a tektury, dopóty nie ufnie do nich będą się odnosić ludzie z krwi i kości”.

Przytaczanie urywków, z wypowiedzi Zygmunta Lichniaka nie miało na celu stawiania znaku równania między kierunkami w krytyce literackiej, które wynikają z odmiennych przesłanek światopoglądowych, tym bardziej dalekie

(Dokończenie na str. 12)

Andrzej ODNOWA

„POCIĄG DO MARSYLII“ K. GRUSZCZYŃSKIEGO W „ATENEUM“

Po długiej przerwie, jaka nastąpiła po przedstawieniach zeszłorocznego Festiwalu Sztuk Współczesnych, publiczność warszawska otrzymała nowy spektakl, osnuty na aktualnej problematyce. Jest nim wystawiany przez „Ateneum“ drugi po „Dobrym człowieku“ utwór sceniczny Krzysztofa Gruszczyńskiego pt. „Pociąg do Marsylii“. Warto na

niami były dla nas nieoczekiwane. Dla nas Stokman nie był ani politykiem, ani wiecowym mówcą: był jedynie czystym ideowym i prawdziwym człowiekiem, kochającym ojczyznę i lud, człowiekiem, jakim być powinien każdy ucziwy i prawy obywatel kraju... Może tajemnica oddziaływania polityczno-społecznych utworów polega na

dramat i tak określa ją sam autor. Dwa dramaty moralne, o przeciwnej linii kierunkowej, wybierają się wśród wydarzeń utworu. Zwycięską linią pnie się ku górze dramat maszynisty Ledoux, dramatem upadku jest wątek kaprala Brégain.

Stary Ledoux, choć rozumny czytelnik „Huma“, sfilistrzał pod wpływem swej odrobnomieszkańskiej żony, jego serce od dawna nie zabiło żywiej, nawet w latach okupacji. Przeszedł już na emeryturę, patrząc na nowy zryw ludu przeciw kapitalistycznej wojnie, uświadamia sobie, co zrobiło z niego życie. I teraz dopiero ocknęło się coś w Ledoux, wyrwało go z wygod, pozwoliło mu, choć wśród wahań, odnaleźć w sobie odpowiedź na pytanie chwili, na głos współbraci, robotników, ludu. Protestując wraz z tłumem przeciw transportowi żołnierzy do kolonii, zostaje śmiertelnie postrzelony. Czy wszyscy śpiewają? — zapytuje gasnącymi ustami, słuchając rewolucyjnej pieśni z ulicy. Tym akcentem patosu, wyrazem duchowego odrodzenia u progu śmierci kończy się dramat Gruszczyńskiego.

rowi nie udało się jednak organicznie skupić całości wydarzeń wokół wspomnianych, świetnie pomyślanych, konfliktów naczelnych.

Skazą „Pociągu do Marsylii“ jest także nieprawdziwość niektórych realiów, zarówno rzeczowych, jak i ludzkich, wielka ilość nieprawdopodobieństw w faktografii i psychologii. Retusz dramatyczny i reżyserski usunęły z tekstu fałszywe najbardziej rażące, jak owych 700 pociągów, które jednej nocy wyleciały rzekomo w powietrze w czasach „Résistance“ — ograniczono ich ilość do 40; i tak wspaniale legitymuje ten fakt męstwo francuskiej konspiracji. Mimo wszystko pozostały w widoku sytuacje, postaci, partie dialogów, wywołujące zgrzyty w odczuciu widza i sprzeczne z realizmem, przede wszystkim psychologicznym. Ież nieprawdy jest w jednym z ważnych pomysłów fabuły; maszyniście Ledoux zaraz pierwszego dnia po przejściu na emeryturę cni się tak barzo bez maszyn, że „samego diabła by powiozł, byle go wpuścili na parowóz“. Jeszcze w trzecim akcie nie może się dość nacieszyć, że tak się wyjeździł. A dalej, stosunek wzajemny kaprala, porucznika i dżony korpusu ekspedycyjnego. Ież tu przesady, w tym zgoła nie francuski kapral szale zniszczenia skierowanym przeciw Bogu ducha winnym meblom, w bezkarnej agitacji Rigogne'a w komicznym demonizmie porucznika. Nie wiem, skąd się u tego ostatniego wzięło (z przykładu „Interwencji“?) tak ścisłe powiązanie funkcji dowódcy i agenta kontrwywiadu? Wiele też jest sztampowości w postaci osobliwego, od początku się dekonspirującego szpicla Crottina, we w nieskończoność powtarzanych ofertach naczelnika kolei pod

Oglądając jedno z dalszych przedstawień, odnosiło się już wrażenie o wiele korzystniejsze. Reżyseria J. Uklei przywróciła dramatyczne pointy zgodnie z zamysłem autora, utrzymała jedynie uzasadnione zmiany w scenarii drugiego planu. W grze aktorskiej zatarto naleciałości przeniesione z „Interwencji“, ukrócono ekspresjonizm i robiony przy pomocy pauz „nastrój“. Pretensje można było nadal wnosić do dekoracji Wł. Buśkiewicza, która zupełnie nie wykorzystwała sugestii autorskich dotyczących widoku zza okna kolejarskiego domu Ledoux. Wieża ciśniów, semaforów, światła sygnalizacyjne miały nie tylko unaocznic bliskość stacji i tego, co się wokół niej dzieje, ale równocześnie podkreślać nastrój tego niezwykłego wieczoru w miasteczku południowej Francji. I tego wrażenia nie było.

Z obsady aktorskiej, która od czasu przedstawienia prasowego wróciła do większej naturalności, celowali zwłaszcza Wł. Staszewski (Ledoux) i St. Libner (Martin). L. Dytrych w trudnej roli Grébaina miał obok całego szeregu momentów interesujących (m. in. pięknie wytrzymała tragiczna scena końcowa) zagrania gorszej jakości, szczególnie w scenach z Dominique, której tragizm w wykonaniu J. Grossman wypadł mało oryginalnie, dość sztampowo. Wcale interesujący był St. Gawlik, jak zawsze dobry w sylwecie i masce agent Crottin; J. Burek, dyspozytor trochę w dawnym stylu „szarych ludzi“; W. Siemion, dobry w wyrazie protestu społecznego Barthélemy. Poprawni byli I. Rowicka - Kunička (wzruszająca matka Poiret), Wł. Skoczylas (Rigogne), M. Górkiewicz (Charron). A. Jankowska, stworzyła z Michele postać jasnej dziewczyny, choć może nie tak głęboko ujętej jak u autora, u którego Michele „uczyniła sobie z życia świętość“. Rola żony Ledoux dość szablonowa, w ujęciu J. Neito raczej niekorzystnie zaważyła na całości spektaklu. Z. Tobiasza już same warunki zewnętrzne popychały ku mało typowemu, nierealistycznemu, raczej satyrycznemu potraktowaniu roli porucznika Arbois, B. Michałski zbyt wiele może powtórzył jako Nicolas ze swej poprzedniej roli w „Interwencji“, R. Rogalski (Poiret) nieco błady.

Mimo ukazanych cieni, których pozostało jeszcze trochę w tekście autorskim i wykonaniu scenicznym, dalsze przedstawienia cieszą się wcale żywą reakcją widowni.

Andrzej Odnowa



Państwowy Teatr „Ateneum“ w Warszawie. Scena z aktu II sztuki Krzysztofa Gruszczyńskiego „Pociąg do Marsylii“. Od lewej B. Michałski, M. Górkiewicz, R. Rogalski, W. Skoczylas, L. Dytrych, S. Libner, E. Skarga, W. Siemionow, Reżyseria: J. Ukleja. Scenografia: W. Buśkiewicz.

Fot. A. F. Kaczkowski

spojrzeć w światło doświadczeń Festiwalu, doświadczeń mimo wszystko bogatych i pouczających.

Najogólniejsze wnioski z dyskusji pofestiwalowej b. miały: Problematyka społeczna sztuk współczesnych obejmuje w sposób rozległy i na ogół trafny większość żywotnych spraw naszego „dzisiaj“, nie odpowiada jej jednak głębsza znajomość wewnętrznej życia człowieka. Postaci na scenie, pozbawione osobistej prawdy ludzkiej, nie są przez to w stanie udźwignąć ważnej i słusznej problematyki ogólnej. Nie przekonują w swych codziennych, jednostkowych przeżyciach, postaci sztuk współczesnych umniejszają prawdę społeczną.

Wąski praktycyzm ująć by mógł wnioski z Festiwalu w prostą receptę: doprawić sztuki współczesne wątkiem osobistym; przede wszystkim: odrobina erosu! W jednej z ostatnich sztuk festiwalowych, w „Trzeba było iskry“ Pasternaka (w „Kameralnym“) miłość nie tylko wieńczy nawrócenie zbłąkanego robotnika, ale z drugiej strony — zawiedziona — przydaje patosu niezłomności działaczowi partii.

Doświadczenia Festiwalu prowadzą oczywiście dalej i głębiej. Nie może chodzić jedynie o wątek osobisty jako dodatek do problematyki społecznej: znaczyłoby to utrzymywać niegodną humanizmu — socjalistycznego humanizmu — dwutorowość życia osobistego i zbiorowego. Rozwiązanie prawdziwe musi być rozwiązaniem organicznym. Trzeba, aby sprawy ogólne, polityczne, społeczne, gospodarcze odzwierciedlały się w prawdziwych przeżyciach i odczuciach ludzkich, odsłaniały w sobie zawsze sens humanistyczny. I obojętne, czy będzie to sprawa pokoju, pracy, walki o wszelki postęp czy jakiegokolwiek z czołowych zagadnień współczesności, aby wszystko odbywało się w człowieku, przez człowieka i dla człowieka.

Pięknie rozumiał to K. S. Stanisławski. W związku z polityczną sztuką współczesną tamtych lat („Wróg ludu“ Ibsena, „Mieszczanie“ Gorkiego) tak pisze on o nakazach, jakie narzuca ona grze aktorskiej:

„Lecz my, wykonawcy sztuki i ról, stojąc na scenie nie myśleliśmy o polityce. Przeciwnie, demonstrowaliśmy wywołane przedstawie-

tym, że przy ich odtwarzaniu aktor powinien jak najmniej myśleć o społeczno-politycznych zagadnieniach, a po prostu być w tego typu sztukach idealnie szczerym i uczciwym.“

„Tendencja wprowadzana z zewnątrz nie godzi się z prawdziwą sztuką. Jeśli do sztuki podchodzi się z tendencyjnymi, utylitarnymi albo innymi nieartystycznymi zamysłami, wiednie ona jak kwiatek w dłoniach. Obecna tendencja musi w sztuce przerodzić się we własną ideę, zmienić się w uczucie, stać się szczerym dążeniem, druzną naturą samego artysty, a wówczas wejdzie w duszę i krew aktora, w istotę roli i utworu i stanie się tendencją, lecz osobistym credo artysty. A widz niechaj sam wyprowadza wniosek i sam znajduje tendencję w tym, co mu daje teatr. Naturalny wniosek i jawni się sam przez się w duszy i umyśle widza ze stworzonej przez aktora twórczej koncepcji.“ („Moje życie w sztuce“ str. 267—269).

JAK urzeczywistnia te humanistyczne postulaty nowa sztuka Gruszczyńskiego?

Gruszczyński umie wydobyć głęboki ludzki sens ze spraw politycznych, które w swej sztuce wprowadza. Są to sprawy nowego „ruchu oporu“ na zachodzie, oporu przeciw wojnie. Ruch ten wydaje piękne postaci ludzi walki, mężczyzn i kobiet, rodzi akty bohaterstwa, wylania żywotną problematykę społeczną i moralną. Będąc praktyczną służbą w duchu humanizmu i przybliżając jasną szansę naszych dni: przyszłość bez wojen — ruch ten ma wszelkie dane, aby stać się źródłem natchnienia dla współczesnej dramaturgii. Nic dziwnego, że Gruszczyński właśnie do niego sięgnął. I ma w tym nowym temacie ciekawe osiągnięcia, choć ponosi i wyraźne porażki. Osiągnięcia dotyczą ogólnej koncepcji dramatycznej i humanistycznej, porażki — dramatycznej konstrukcji dzieła i realizmu szczegółów.

Sprawę tytułowego „Pociągu do Marsylii“, pociągu z wojskiem do Indochin, znajduje rozwinięcie w szeregu dramatów ludzkich — cała sztuka ambitnie ujęta zostaje jako

ALe równoległe z historią moralnego podniesienia starego Ledoux rozwija się nie mniej wymowna i dramatyczna historia stoczenia się na dno upadku kaprala Brégain. Dość niezwykle jest konstrukcyjnie przebieg tego wątku. Kapral Brégain jawi się przed widzem jako nadrabiający miną, o szubieniczym humorze, wyrutek społeczeństwa. Jest to początkowo na wskroś czarny charakter. Straceniec życiowy, porzucił żonę — przed dziećmi suterem, bezrobocia, i nędzy — na „brudną wojnę“. Nie dociera wprawdzie do kolonii: straciwszy drużynę — tak jak jego porucznik cały pluton — „w pogawędkach z ludnością cywilną“, już w ojczyźnie rozbrojony, ginie z ręki dowódcy. Dramatyczną pointę zawiera dopiero epilog tej sprawy w opowiadaniu kochającej go do końca Dominique. Jej męża zgubił jeden tydzień, tydzień, w którym jako łamistrajk miał wreszcie długo oczekiwaną pracę. Stał się hojny i dobry dla żony i dziecka, wydawało się, że odnalazł ludzkie uczucia, gdy wtedy właśnie on je ostatecznie zatracił. Zabiła go — wcześniej niż strzał dowódcy — pogarda towarzyszy.

Kiedy niezwykle ludzka w swym tragizmie Dominique wychodzi, aby oddać ostatnią posługę ukochanemu człowiekowi, ofierze złego ustroju i własnej hańby, czujemy, że jak w rzadko której sztuce współczesnej autor uzyskał nie tylko bardzo przekonujący akcent społecznego oskarżenia, lecz zarazem pełnoprawną i w najbardziej ogólnoludzkim sensie tragiczną katharsis. Sztuka Gruszczyńskiego uprzytomnia fakt, że dramat może oddziaływać na współczesnego widza w stopniu nie mniejszym, aniżeli sztuka pełna łatwego optymizmu.

Przedstawione dwa wątki nie wyczerpują zawartości myślowej, psychologicznej i społecznej dramatu. Przewijają się w nim dalsze sprawy. Maksymalizm i minimalizm etyczny, zilustrowany na większości postaci, z młodym małżeństwem komunistycznym Martinami na czele; klasowy charakter wojny, odsłonięty w motywie fabrykanta z Sajgonu, odległego krewnego, z którego ma „zdychać“ Nicolas; paradoksalność tej wojny techników a dezercji bohaterów; obcość żołnierza kapitalistycznego nie tylko w kolonialnym, ale i we własnym społeczeństwie; krótkowzroczność mieszczan, nie wahających się pogryźć cały kraj w nieszczęściu, byle osobiście uniknąć bezpośrednio im zagrażającej przykrości — oto szereg dalszych zagadnień, ukazanych w sztuce w sposób wcale trafny i przemawiający do widza. Auto-



Państwowy Teatr „Ateneum“. Scena z aktu I sztuki K. Gruszczyńskiego „Pociąg do Marsylii“. W. Staszewski i J. Burek. Fot. A. F. Kaczkowski

adrem swego podwładnego, wiele taniego melodramatyzmu w niektórych partiach roli Dominique.

DO tego dochodzi wykonanie w Teatrze „Ateneum“. Gdyby oprócz jego ocenę na wrażeniach premiery prasowej, musiałaby ona wypaść wyjątkowo niekorzystnie. Był to jeden z najbardziej żenujących spektakli, jakie widzieliśmy ostatnio. Czy sprawiła to trema młodego na ogół zespołu, czy wątpliwości co do ostatecznego kształtu i stylu przedstawienia, dość że rwało się ono nieustannie, co podkreślał jeszcze dziwaczny ekspresjonizm gry aktorskiej z nadużywaniem pauz. Gra ta wydawała się manierycznym powtórzeniem gry z „Interwencji“, słowa padały w pustkę krytycznej sali, a śmiech wyrażał najwyższą podziw dla nieporadności tego wszystkiego, łącznie z daleko posuniętymi zasadniczymi zmianami reżyserskimi w tekście autorskim.

POPIERAJCIE
Katolicki Uniwersytet
Lubelski

Do P. T. Odbiorców
Instytut Wydawniczy PAX,
Biuro Sprzedaży uprzejmie
prosi P. T. Odbiorców o
podawanie przy wpłatach
na P.K.O. dokładnego tytułu,
gdź nie podanie celu
przekazu opóźnia załatwienie
zamówienia i stwarza
zbędna korespondencję.

AUTOPORTRET

(Dokończenie ze str. 6)

wydołał z płomieni. Poeta, „Litawor” i jedna z łączniczek tłumaczyli mu wprawdzie, że Simmler też jest bardzo znanym malarzem i że cenna rzecz uratował od spalania; dał się niby przebiłgać, ale patrzył na literata trochę koso i w miarę wypijanych szklanek wina coraz głośniej narzekał. Obraz wisiał na widocznym miejscu. Twarz mężczyzny o wydatnym nosie i rozmarzonych oczach, okolona jasnymi puklami włosów spoglądała na zgromadzenie.

„Wiedcie czyja to głowa? — spytała łączniczka. Wszyscy popatrzyli na nią z zaciekawieniem. Chwila ciszy.

„No, mów, jeżeli wiesz” — zniecierpliwili się „Brona”.

„Autoportret Simmlera, bodaj że ostatni”.

„Dlaczego auto” — zdziwił się „Lelek”.

To znaczy portret własny — objaśnił poeta.

„Teraz wiem skąd znałem tę twarz — zakrzyknął „Litawor” — u nas był albumik, a w nim portret obu braci malowany przez Józefa. Ta sama twarz, przypominam sobie”.

„Lelek” przestał narzekać i rozchmurzył się, właściwie niewiadomo dlaczego — przecież Simmler pozostał Simmlerem.

„Wypijmy za nasze i jego przetrwanie” — wznosił szklanek „Karp”.

„Jemu to może łatwiej nawet przyjdzie, niż nam — zamyśliła się druga łączniczka, a że podpiła już trochę, izer zaczęły gęsto spytać po policzkach i kapać na powstańczechy kombinezon. „Karp” otoczył ją troskliwie ramieniem.

„Iskierko”, nie bec, bo i ja zaczęję wyc”.

Z drugiej strony „Brona” gładziła płaczącą dziewczynę:

„Ślicznotko, nie rozżalał się. życie zawsze niepewne, cóż dopiero teraz. A obrazy łatwiej ratować niż ludzi” — tu sam się rozczulił.

Wszystkim zrobiło się jakoś mdło w dółkach (alkohol na puste żołądki mocno działa) i niezbyt wyraźnie przed oczyma. Potem umilkli. Milczenie jest przeważnie oznaką intensywnej myśli. Wśród cichszych gęsto krążyły kolejki.

„Słuchaj — ululany poeta dorwał się do „Litawora” — słuchaj, przyrzeknij mi jedno, no przyrzeknij, jeżeliś kolega, no przyrzeknij”.

„Dobrze, czego ja dla ciebie nie zrobię, choć jesteś drań” — literat wpiął w niego nieprzytomne krótkowzroczne oczy.

„Przyrzeknij mi, przyrzeknij” — gadał z uporem tamten — „że odtworzysz za trzy lata, rozumiesz? Za trzy lata swoją powieść, wszystko jedno w którym miejscu i gdy ci się spodoba, uważasz, gdy ci się spodoba, będziesz pisał dalej, a jak nie, ciśniesz k'czortu. Dobra?”.

„Dobra”.

„Daj słowo”.

„Słowo daję”.

„No”.

„Brona” nie darował. Po trzeciemu przypomnieli i jeszcze raz wymogli trudną obietnicę. Mimo nagabywań, zdziwienia i oburzenia całego batalionu „Litawor” odtąd nie ruszył piórem. Bóg jeden wie jak mu to ciężko przychodziło, ale zaciął się i wytrwał. Czasem bywało, że przez zapomnienie siadł do stołu, odruchowo sięgnął po pióro i błędził ręką po blacie w poszukiwaniu zeszytu, ale zaraz wstawał i odchodził. Zły był potem tylko i opryskliwy.

Autoportret wisiał na tym samym miejscu aż do końca. bo linia Noakowskiego była jednym z najspokojniejszych odcinków pow-

stania. Przyszła oddawna nieuchronna kapitulacja. Obraz dobrze zabezpieczony znieśli do piwnicy.

„Kto go będzie ratował przed słępnym pożarem?” — westchnął smutno poeta po zamurowaniu wejścia.

„Pamiętasz jak mnie ściągnął za kurtkę ze schodów?” — przypomniał „Lelkowi” „Litawor”. Ten uśmiechnął się w odpowiedzi. Patrzyli chwilę na siebie.

„Tak samo się teraz uśmiechacie jak wówczas” — powiedział „Brona”.

Poszli do niewoli. „Lelek” zginął podczas jednego z nalotów na Hamburg. Nawet nie można było marzyć o odnalezieniu zwłok. „Brona” i „Litawor”, teraz już Jerzy Michalak i Leszek Sokołowski, po uwolnieniu z obozu pędzili niewesoło, tułaczy żywot emigrantów, żywot pełen biedy, upokorzeń i nostalgii, znośny tylko dla tych, którzy umieli kręcić lub handlować. Wrócili przez Szczecin, wyrwawszy się z zatrzymujących, groźących i szkanujących szponów emigracji. Jerzy zastał miejsce po domu i utrwalił się w bolesnej świadomości, że miał kiedyś rodzinę; Leszek oglądał wraz z ojcem i siostrą wyryte po bombie na miejscu mieszkania. Potem odcinek przyciągał ich kroki. I taka chyba była droga wszystkich powracających. Najpierw dom, potem pozycja. Długo



szukali obrazu. Niestety, mur rozbity, a skrzyni ani śladu.

„Biedny „Lelek” — zamyślił się Leszek — całe poświęcenie okazało się bezowocne”. Jerzy zamarzył się: „Tu nie tylko obraz był ważny”.

Sokołowski dłużej nie otwierał zeszytu, niż obiecał przyjacielowi. Zdawałoby się, że zapomniał o jego istnieniu. Michalak miał już poza sobą dwa tomiki wydanych pozycji i dosyć znane imię, Leszek podziwiał jego wiersze, lubił czytać żonie, ale swojej powieści nie wyciągał. Aż zdarzyło się pewnego dnia, że podczas porządkowania starych szpargałów zeszyt podłazł sam pod rękę. Niedośły literat drgnął i chciał schować go pod stos już odłożonych do spalania śmieci, ale opanował się. Otworzył. Przebiegli oczyma kilka wierszy. Zaciął usta. Jeszcze trochę przeczytał... i nagle zaczął tarzać się po podłodze w paroksyzmie szalonego śmiechu.

„Leszku, co się stało? — pytała żona.

„Przeczytaj, przeczytaj to. Oj, nie mogę”.

Siedział trzymając się za brzuch w niepowstrzymanym ataku wesołości.

„Kto to pisał?” — zdziwiła się łagodna pani Zofia.

„Ja, ja... trzymaj mnie, bo peknę”.

Oboje popłakali się ze śmiechu czytając wspólnie. „Powieść” powędrowała do pieca. Michalak dowiedział się o tym, kiwnął głową z uznaniem i klepnął kolegę po plecach:

„Zawsze wiedziałem, żeś fajny chłop. Tylko niepotrzebnie chcia-

łeś z siebie zrobić pisarza. Tego nikt jeszcze nie dokazał. Trzeba nim się urodzić”.

Właśnie Leszek wracając do domu po pracy przypomina sobie po raz niewiadomo który tę rozmowę i uśmiecha się trochę smętnie. Koło tablicy ku czci rozstrzelanych na rogu Alei i Marszałkowskiej jak zwykle zdejmując kapelusz. Wzrok jego machinalnie pada na widoczek wystawiony w bramie i napis głoścący, że w podwórzu jest sprzedaż obrazów. Interesuje go wszystko związane z malarstwem, bo ciągle — pewno już nie wiedząc nawet o tym — szuka. I teraz skrzyknął zgnęony możliwością obejrzenia czegoś nowego. Tutaj jeszcze nie był. Przybudówka zapelniona obrazami różnego formatu i wartości. Jest mało znany Chełmoński. Malczewski, Styka, Hoffman Odwrócił się by spojrzeć na drugą ścianę. Prosto w niego patrzyły zamknięte oczy Simmlera. Ten sam, nie ulegało wątpliwości. Oparł się o stół i tak trwał bez ruchu. W pamięci przeskakiwały szybkie sceny pożaru, piwnica pełna dymu, nieprzytomny „Lelek”, strugi wina, powrót... A potem pijatyka i znowu piwnice. Sprzedawca zauważył niezwykle wzruszenie gościa.

„Pan zna ten obraz?”.

Skinienie potakujące i po chwili:

„Tak. Ratowaliśmy go podczas powstania. Sledem lat temu”.

Ostatnie zdanie Sokołowski powiedział jakby ze zdziwieniem, że tak już dawno to było, że pionąca pochodnia Warszawy zdołała się zmienić w nowoczesne pięknie rozbudowujące się miasto; że on od tyłu lat pracuje dla nowej ludowej Ojczyzny.

„Siedem lat temu” — powtórzył jak echo gospodarz. Leszek odetchnął głęboko.

„Nawet stosunkowo tani, tysiąc osiemset złotych”.

„Trzy pensje — uprzytomnił sobie szybko Sokołowski. „Nie, panie, nie kupię. Ale tak się cieszę, że ocalał, tak ogromnie się cieszę”.

„Przyniósł mi go w 1945 roku jakiś mężczyzna. Mówił, że z rodzinnych zbiorów”.

„Tak, z rodzinnych. Naturalnie. Ale na mnie czas. Strasznie się cieszę”.

Jeszcze rozpromienione spojrzenie w stronę znajomej głowy. Tak jak się patrzy na bliskiego człowieka spotkanego niespodziewanie, gdy wszelkie wiadomości o nim były: nie żyje. Wyszedł wreszcie. Ludzie oglądali się za szczęśliwie uśmiechającym się Leszkiem i sami uśmiechali się do jego radości.

„Jerzy — krzyczał już na progu mieszkanca kolegi — znalazłem”.

Wzruszony poeta chwycił go za ramiona:

„Myślę, że „Lelek” też się cieszy”

Janusz Kozłowski

WIECZORY POD LIPĄ

Felysz śmieszności

JSTNIEJA słowa, których adeptów wiedziedzi tajemnej nigdy nie zaliczali do żelaznego repertuaru swoich hokus-pokus, a które działają w sposób magiczny. Od różnych stron obrabiali już humoruści skuteczność takich np. magicznych zaklęć: „Odutra nie będzie drażdy!” (zamiast drażdy można postawić pastę do obuwia, szczytki do włosów, guziki, krawaty, muszki do mięsa, kije do hokeja, wycieraczki, spluwaczki i w ogóle co komu na myśl przyjdzie). Ale magią tego rodzaju zaklęć działa tylko na pewne, na ogół mało interesujące odmiany gatunku homo sapiens i działa coraz słabiej. Masowe „ciągi” mieszkańców Gracjowa na Grójecką w celu nabycia jakimś cudem ocalałych tam jeszcze kilku par sznurówadeł, których już (podobno) nigdzie nie można kupić, czy też mieszkańców Żoliborza w okolicy Dworca Wschodniego, gwałtownie zapomniała się w znikające (podobno) z rynku szczytki do włosów, przechodząca w dziedzinę legend zamierzchłej przeszłości. Minie parę, potem kilka, potem jeszcze kilkanaście lat, minie parę dziesięcioleci, a wnuczki Golubiewa popłazą się już owoceci o tych wydarzeniach z historiami o smaku wawelskim, Popielu i muszach, z piosenką o Wandzie, co nie chciała Niemca (zremilitaryzowanego), i w najlepszej wierze wpukuje je w proslawiański enas o dziadku Ptaszkolodzieja. Krzykcy mu nauragają, że nie wykorzystali należycie motywu w e d r ó w k i i L u d ó w. On się będzie bronil. W sprawie wdadza się specjalności od prehistorii i archeologii, a wtedy wszystko tak się popłazę, że nikt już nie będzie wiedział o co chodzi. Wreszcie wszyscy spolem machną ręką na całą tę aferę i wróca do przerwanej na chwile dyskusji nad zagadnieniem realizmu.

Ha? Zapędziłem się: zamiast studium o magii słów kronie jakas poroczna wile przyszłości. Dość tego! Wracajmy w rok Pański 1952 i wracajmy do tematu.

Otoż, proszę państwa, wyobraźcie sobie, że ktoś z waszych krewnych czy przyjaciół wpadł na jakiś zgola wariancki pomysł i chce w taki czy inny sposób podać to swoje nieszczeście (a jego zdaniem genialne) „odkrycie” do wiadomości publicznej. Myślicie sobie: „Szkoda chłopca!” i zaczynacie mu perswadować, żeby się nie śpieszył, żeby jeszcze porzekał i zastanowił się trochę, ale facet ani słuchać nie chce. Mówcie mu, że go nie rozumiemy — wierzusz ramionami. Twierdźcie, że będą go ostro krytykować — uśmiecha się. Upominacie, żeby nie zrażał sobie nallenszych przyjaciół, którzy w danej kwestii mają zdanie wrecz przeciwnie niż on — śmieje się na głos. Wreszcie, doprowadzając do ostateczności wyzuczenie z siebie: „S k o m p r o m i t u j e s z s i e ! B e d a s i e z c i e b i e ś m i e c h o !”

JTO podziwiało jak zaklęcie magiczne: facet milknie, błędnie, siada na krześle i niepewnym głosem puka: „Naprawdę tak myślisz?”. Aha, orientujecie się, tuś mi bratku! No, i oczywiście walicie na całego: „Jasne, że będa. Ktożby się nie śmiał? Koi by się uśmieł! Stuletni melancholik boki bu zrywał ze śmiechu. Nieboszeczka Niebo przestobu płaknę”. A zuchwałemu don Kichotowi, przed chwilą jeszcze zdecydowanemu na atakowanie wszystkich na raz wiatraków Świata, miana rednie coraz bardziej. Przystada łchórzliwie na ognie i mruzczy: „To może lepiej dać z tym spokój?”

A w czum magiczna siła owego: „Będa się śmiać”? W tym oto, że niczego, nawet wściklego psa nawet wizytu u dentysty, nawet „zageszczenia” mieszkanca nie boimy się tak bardzo jak śmiecie z n o s e c i a. Niezrozumienie, cierpienia, zgrzyoty, zawady mogą nas

złamać czasami doprowadzić do obłędu lub śmierci, ale nie p o m n i e j s z a i a n n a s w n a s z y c h o c z a c h W każdym naszym nieszczęściu i cierpieniu tkwi siła oczyszczająca, tkwi element wzniosłości, patosu, niezwykłości. Wobec cudzego cierpienia i nieszczęścia czujemy się zażenowani naszym dobrym zdrowiem i powodzeniem życiowym. Skłonni jesteśmy do odsuniecia wtedy poza próg wiadomości własnych strania i kłopotów gdyż — na krótki choćby okres czasu — chcemy być razem z kimś, kto nas w tej chwili potrzebuje, towarzyszyć jego myślom, wspomagać go w walce przeciw jego troskom. Współczujemy przynajmniej z nieszczęśliwym, skoro nie jesteśmy w stanie mu pomóc.

Ale śmieszność? Ta jeśli nawet wzbudza współczucie, to współczucie zatrute lekceważeniem, skążone często wstrefem i pogardą. Jeżeli współczujemy komuś, kto się okazał śmieszny, to prawie nigdy j a k o r ó w n e m u, ale tak z wysoka („Dzięki Ci Panie, że nie jest jako ów celnik”).

Chodzi o niedźwiedzie z oszezczeniem... Może to bohaterstwo, a może wariactwo. Trudno się o tym przekonać, bo niedźwiedzie poza ogrodami zoologicznymi ani na lekarstwo już nie uświadczyć w naszej krainie. Minęły czasy, kiedy życie obijało w bohaterkę okazje. Za to okazje do śmieszności mamy huk. Na ulicy, na odzrycie, w tranwaju, w słońcu, w sklepie, na boisku sportowym, we własnym domu. Ano, cóż robić? Trzymajmy się. Czujajmy, żeby ktoś z nas nie „wystrugał wariata” i żebyśmy z własnej winy nie zasłużyli na miano „lebiegi”, czy zgola „mazepu”. Tak tak... Ale zastanówmy się i powiedzmy otwarcie, czy nie więcej odważy wymaga świadome narażenie się na śmieszność, niż nadadanie z oszezczeniem i toporem na Boga ducha winnego misia? I przyznajmy się, ile trudu, ile starań podejmujemy, aby uniknąć śmieszności.

Miano złośliwca, skąca, wariactwa, nawet zgola pijaka lub rozpustnika nie wydaje się tak kompromituące jak miano człowieka śmieszego. Ono dopiero pozbawia nas współczucia i sympatii, zmienia naszych bliźnich w groźno dostojnych Gulazerów, z wżym swojej nieskończonej powagi palczących z polowaniem na maleńkiego, pobudzającego ich do śmiechu liliputa.

Ala wyobraźcie sobie, że lilipul zburtuje się. Przyjmuje śmieszność jako naturalną i przurodzoną a ceche swej natury. I popożru na posagowych wielkoludów jako na udawaczy, którzy pragną za maską złośliwego prześmiewchu utulić własną potencjalną śmieszność.

A jakże o to latwo! Dawno już zauważono, że od wzniosłości do śmieszności tylko jeden krok. Jeden krok, jeżeli idzie się samemu. Jeżeli zaś ma się w pobliżu życiowe istoty, gotowie w każdej chwili pomóc do zrobienia tego kroku? O, wtedy już nie krok: linia graniczna cieńsza niż pierzyna dziełi nasz Kapitol od naszej szkły Tarpejskiej.

A któż to sa ci życiowci? Czyżbyście ich nie znali? Sa to profesjonalni p o d p a t r y w a c z e ś m i e s z n o s c i, arcykuplani bóstwa Śmiechu, Angarowie Dawciami, dewotki Kpny. Cóż i któż może uniżyć odbicia w krzywum zwierciadle tego, co oni oraz prostoduszni ludzie dobrej woli przyszykli nazwać zmysłem humoru? Ach, ci wiecznie rozdrowani, no dziurki w nosie, najaszczowani „witkami”, dowiecipuszkami zarosłe w napętej czujności żębu — Broni Boga! — nie przeczyczą czegoś „do śmiechu”!

Zastanówcie się przez chwile tylko, jak tanim kosztem cicy oni wywalczyli sobie urzucylenioną sytuację życiową. Bez wysiłku, bez trudu, po prostu dlatego, że dostrzegli jakieś rozważane sznurwadło, rozważony krawał, dziure w spodniach, plomę z atramentu na czymś nosie lub czole. „Dawciami!” Wiech ich kuczka kopnie z takim dowcipem!

Do diabła z feluszem śmieszności! I ja jestem śmieszny, i wy, i oni, i nawet ona. Śmieszni jesteśmy, będy się kochamy i będy gowimy uciekający z przustanku tranwaju, będy jemu obiad i będy czujemy „Pana Tadeusza”. Będamy śmieszni nawet podczas modlitwy, nawet w chwili śmierci.

I zły muślicie, że to takie ważne? Punnajmniej To tylko w przeborny sposób wurażana przez omiekujące ducky przestępca przed ponadaniem w zaręmiatłość i puche. Powiadacie że to jednak czasem jest przykre, gdy się będy z nas śmieją. Cóż? Wybaczone nam i nie bierzcie sobie tego znanadło do serca.

— — — bośmy ta wiszycy grzuchni choć nie wymawiający kręściony — jak powiada poeta.

Bogumił Kolac

DO PRENUMERATORÓW i CZYTELNIKÓW „DZIŚ i JUTRO”

Komunikujemy, że zgodnie z zarządzeniem Ministra Poczt i Telegrafów poczynszy od 1 marca 1952 r. zgłoszenia i odwołanie prenumerat n tygodnika w dotychczasowej wysokości, należy dokonywać bezpośrednio w Urzędach Pocztych, lub w listonoszy, należących terytorialnie do danego Urzędu Pocztych, na terenie którego zamieszkuje odnośny prenumerator.

Dla uniknięcia przerw w otrzymywaniu tygodnika wpłaty na prenumeratę bieżącą winny być dokonywane najpóźniej do dnia 15 każdego miesiąca na miesiąc następnny.

Należność z tytułu zaległej prenumeraty za okres do 1 marca 1952 r. prosimy wpłacać na konto P.K.O. 1-727/114 dla: Administracji „Dziś i Jutro” Warszawa, ul. Mokołowska 43.

Zamawianie prenumeraty zbiorowej „Dziś i Jutro” tj. od 3 ch egz. wwyż na jeden adres, odbywa się jedynie przez zgłoszenie w Administracji Warszawa, ul. Mokołowska 43.

FILM

»Z a ł o g a«

DYSKUSJA nad „Pierwszym startem”, wytykając scenarzyście błędy postawienia i rozwiązania konfliktu, pozwoliła sprecyzować cały szereg postulatów w stosunku do scenarzystów filmów młodzieżowych i niemłodzieżowych. Najmocniej podkreśla to się dwie rzeczy: potrzebę nara-

giczne ich zbliżenie. Większość więc błędów filmu nie wynika ze późniejszych zmian, ale z wad tkwiących w scenariuszu od początku.

Wszystkie prawie pastacie „Załogi” i w pierwotnej wersji i w filmie potraktowane są schematycznie. Film trafnie obrazujący losy bohaterów, nie pokazał dostatecz-

wnętrzną. Najbardziej wyrazista trójka: Bugaj, Józek i Broniek Kruk została zróżnicowana w wyniku wyeksponowania ich losów w akcji, przez to, że najwięcej powie dziano nam o tym co robią, ale i tu także nie ujawniono właściwie psychologicznych motywów ich działania, nie zindywidualizowano ich charakterów.

Prostą fabule „Załogi” zbudowana w ten sposób, że już z założenia ciężar wymowy filmu nie mógł się opierać na analizie wydarzeń. Wymagała ona precyzji szeregów, zróżnicowania charakterów, zajęcia widza żywymi ludźmi. Byłoby uproszczeniem uważać, że niktóż akcji i prostota konfliktu zdecydowała chociaż w najmniejszym stopniu o prymitywności i bładości filmu. Przeciwnie, ta prostota dawała duże możliwości pogłębienia konfliktów, nadania im wielkiej intensywności, precyzyjnego ich umotywowania i przeżycia.

Ta wada wydaje się bardzo poważna. Nie może jej zrównoważyć ani teoretyczna słuszność budowy wydarzeń, wyboru problematyki, ani „samoczynnie” działający na widza urok morza i całego tła filmu. Tła zresztą niewyżyskanego. Nie może jej naprawić kilka pięknych, doskonale skomponowanych zdjęć i ładna piosenka. Sądze, że z tej kardynalnej wady wynikają w dużej mierze wszystkie inne błędy i nieporadności filmu, a przede wszystkim sztywność i niejednolitość gry aktorskiej.

„Załoga” jest dowodem, że nie ma tematu i konfliktów, które by same w sobie determinowały wartość filmu. Nawet słusznie „ustawiony” temat może być spłycony przez nieporadność artystyczną i schematyzm psychologiczny.

Leszcz



Foto Film Polski

dzania się w sprawach filmu młodzieżowego z organizacjami młodzieżowymi oraz konieczność zerwania z wymyślną budową akcji wyposażoną w schematy „chwytów” dramatycznych.

„Pierwszy start” był filmem, który sztuczny, w wielu momentach fałszywie postawiony, konflikt urealniał, prostował jakby trafnością szczegółów, dobrą budową sylwetek poszczególnych postaci, żywością i celnością wielu obserwacji, przeko-nywającym zróżnicowaniem typów i sytuacji. „Załoga” jest w pewnym sensie odwrotnością „Pierwszego startu”. Scenarzysta nie dążył do zbudowania wyszukanej fabuły, nie dążył do wywoływania sztucznych napięć, wybrał jasną i mającą cechy prawdziwości historię, tak, że w ostatecznej postaci dał scenariusz poprawnie stawiający problem, słuszny dydaktycznie, mający walory wychowawcze, ale nie po trafił pogłębić go realiami i psychologicznymi i sytuacyjnymi. Stąd „Załoga” jest filmem o dobrze postawionym i rozwiązanym konflikcie, wychowawczo poprawnym, ale artystycznie nie dopracowanym, nie pogłębionym i prymitywnym. Filmem, który robi wrażenie słusznej tezy pozbawionej zilustrowanej przykładami, a nie świadomie skonstruowanej całości artystycznej.

Sprawa analizy błędów i zalet „Załogi” nie jest łatwa. Jak wiado- mo scenariusz opublikowany w „Twórczości”, w momencie kiedy praca nad filmem była w stadium końcowym, wywołał dyskusję zainicjowaną przez „Sztandar Młodych” w wyniku której scenarzysta podjął próbę przerobienia niemal ukoń- czonego filmu. Przeróbka wpłynęła na to, że wymowa scenariusza została skorygowana. „Załoga” stała się historią załogi, nie sprawą oszu- stwa Antka Bugaja. Przeróbka jed- nak także zdecydowała o niejedno- litości, nieopracowaniu technicz- nym filmu.

Niewątpliwie oddanie do realizac- ji niedostatecznie opracowanego, nie skonsultowanego ze środowiska mi młodzieżowymi scenariusza, jest błędem odpowiedzialnych za to czynników Generalnej Dyrekcji Filmu Polskiego. Niewątpliwie scenarzysta za błędy wynikające z tak późno podjętych zmian nie ponosi odpowiedzialności. Wydaje się jed- nak, iż sprawa się nieco komplikuje, jeśli bowiem weźmiemy scenar- riusz „Załogi” w wydaniu FAW-u scenariusz mający jeszcze błędy, które zostały poprawione dopiero po dyskusji, dostarczamy w nim te- samą powierzchowność psychologi- czną, te samą nieumiejętność skon- kretyzowania postaci ludzkich, któ- rą zarzucamy filmowi. Więcej na- wet, dokonane poprawki w kon- strukcji losów poszczególnych bo- haterów nie wpłynęły na psycholo-

nie przekonywająco ich samych. Wiemy o nich właściwie tylko tyle ile dowiedzielibyśmy się przeglądając ankiety personalne (że ojciec jest górnikiem, albo chłopem, że kapitan skończył przed wojną szko- łę oficerską, ale nie znajdując pra- cy, pracował jako prosty marynarz itp.). Poznajemy ich dlatego, ponie- waż posiadają odmienne cechy ze-

WSPÓD KSIĄZEK

Wieś niespokojna i niewesoła

NIE wnikając w przyczyny nale- ży stwierdzić, że znajomość literatury bułgarskiej w naszym społeczeństwie, jeśli weźmiemy pod uwagę przeciętnie czytającego oby- watela, ogranicza się do operowa- nia w najlepszym razie dwoma naz- wiskami: Christo Botewa (poeta „na miarę” Mickiewicza) i Lirza Wazowa (twórca powieści bułgarskiej — a więc jakby Kraszewski i Sienkiewicz razem wzięci) Abstra- hując już od faktu, że zarówno w okresie międzywojennym jak i przed pierwszą wojną światową (tym bardziej!) Bułgaria rzeczy- wiście nie miała warunków dla roz- woju literatury pięknej, wspomnę tylko, że po Botewie i Wazowie za- byłoby sporo innych nazwisk, jak np.: Michalaki Georglew, Elin. Pe- lin czy Anton Strasznirow. Za- nim zostaną przetłumaczone na je- zyk polski dzieła tych pisarzy, zaj- rzyjmy do książki jednego ze współ- czesnych pisarzy bułgarskich, Sto- jana Cękowa Daskałowa pt. „Dro- ga”, wydanej nakładem krakow- skiego „Czytelnika” *).

Jest to powieść, stanowiąca jed- ną ze znacznie lepszych pozycji po- wojennego rynku księgarskiego w Bułgarii (odznaczona nagrodą li- teracką). Jej autor, chłop z pocho- dzenia, nauczyciel wiejski, następ- nie publicysta, swą twórczość pisar- ską, zarówno w opowiadaniach jak i w powieściach, poświęcił bliższej mu problematyce — sprawom wsi. Akcja „Drogi” rozgrywa się przed drugą wojną światową w okresie rządów „miłościwie panujących” i w złotych ramach wywieszonych gdzie- się tylko dało, rodzinny królewskiej. Również i wieś Złotare, „rządzona” przez sprzedajnego sołtysa Petela, przedstawiciela władzy królewskiej, zaopatrzona jest w wymaganą ilość portretów „rodziny”, nie tylko w lokalach urzędowych, ale i po cha- tach „wiernych” poddanych. Z tym wiernopoddaństwem jednakże, jak stwierdzała zgodnie miejscowi do- stojnicy, jest nieszczególnie. Oto

* Stojan Daskałow „Droga” Powieść. Tłumaczył Zdzisław Kempf. „Czytelnik”, Kraków, 1951. Stron 451.

tutejszy nauczyciel, Hajdutow, ma- jący za sobą szczerze lubiącą go młodzież i dzieci, a nawet wielu starszych — jako dobry wykładow- ca i społecznik, u władzy ma opinię niebezpiecznego osobnika, który podważa ustalony porządek rzeczy, buntuje chłopów i uprawia anty- państwową politykę. Hajdutow jest założycielem doskonale prosperu- jącej świetlicy i czytelnicy oraz współ- twórcą wiejskiej spółdzielni. Pozy- skał on sobie z jednej strony mi- łość i szacunek większości miesz- kańców Złotare, przynosząc im o- światę i ułatwiając gospodarowa- nie, z drugiej zaś stał się sołą w o- kolicy miejscowych władz, które w o- bliżu zbliżających się wyborów i w odpowiedzi na zdecydowanie wro- gą postawę chłopów wobec poczy- nań rządu, aresztowują nauczycie- la. Opis kampanii i nastrojów przedwyborczych jak również burz- liwy przebieg samych wyborów, u- jawniających machinacje sensu- stricte królewskich pachołków — wszystko to przedstawione z żarli- wością i pasją naczelnego i — rzecz- prosta — nie biernego uczestnika owych wydarzeń — zajmują w książce Daskałowa pokaźną ilość miejsca. O ile jednak dla bułgar- skiego czytelnika mogą one być bliskim sercu wspomnieniem jego własnych, analogicznych przeżyć, o tyle czytelnik polski rychło się znu- ży przydługą i rozwlekłą historią walki wyborczej na terenie jednej wsi bułgarskiej. Niezależnie od te- go, powieść ta jako tzw. przyczy- nek do walki poszczególnych naro- dów z różnym faszyzmem może mieć znaczenie dokumentarne

Poza dziejami Hajdutowa i jego działalności oświatowo-społecznej, (które mogą być i zapewne są mniej lub więcej dokładnym odbi- ciem dziejów samego Daskałowa lub jego przwiaciół) mamy w oma- wianej powieści dość szczegółowy opis przygodń życiowych biedaka wiejskiego, młodego chłopca imie- niem Garczo. Ten to Garczo z nie- mał dzikiego i ciemnego wyrostka, przeobraża się stopniowo w mło- dzieńca pełnego zalet i umiejętności. Trafia na służbę do kowala

Newralgiczny punkt

(Dokończenie ze str. 9)

było od tendencji identyfikowania indywidualnych postaw ideowych obydwu krytyków. Nie chodziło również o umniejszanie wagi arty- kułu Flaszena przypomnieniem, że wiele wyrażonych przez niego u- wag, wiele ciekawych sformuło- wań pojawiło się wcześniej na łamach „Dziś i Jutro”. Wskazywanie punktów styjących budujących wspólną płaszczyznę działania w sprawach istotnych dla dobra na- rodu i państwa jest zawsze rzeczą pożyteczną, wzmaga szansę współ- pracy ludzi reprezentujących róż- ny światopogląd, różne kierunki artystyczne, lecz pracujących w danym wypadku dla jednej, chociaż nie zawsze jednakowo rozumianej, sprawy odbudowy i rozwoju naszej kultury narodowej.

Rozważania Flaszena opubliko- wane zostały w okresie, gdy wokół zagadnień literackich, a ściślej wokół problematyki związanej z naszą nową krytyką literacką wy- wiązała się bardzo żywa i (miejmy nadzieję) płodna dyskusja. Dowo- dem tego szereg artykułów w czaso- pismach literackich, dowodem fakt, że wspomnianym tematem zajęło się plenum Zarządu Głównego Z. L. P. Wypowiedź, która u- kazała się na łamach „Nowej Kul- tury” (nr 3 z dn. 20 stycznia 52 r., Melania Kierczyńska „O schema- tyzmie”) polemizuje nie tyle z za- sadniczą tezą artykułu Flaszena, co ze szczegółowymi rozważania- mi i sformułowaniami autora „No- wego Zoila”.

Zdaniem Melanii Kierczyńskiej — „walka ze schematyzmem pro- wadzona być może w dwóch płas- czynach: 1) w płaszczyźnie wzboga- czenia przez pisarzy swych do- świadczeń terenowych, 2) w płaszc- czynie dojrzenia ideologicznego i artystycznego pisarzy-debiu- tantów, szczególnie robotniczego i chłopskiego pochodzenia, których doświadczenia terenowe są niekie- dy bardzo duże i istotne, ale któ- rych robotę pisarską cechuje jesz- cze wielka nieporadność. Niezupel- ne zrozumienie (rzeczywistości — dop. rec.) prowadzi do upraszcza- nia, a upraszczanie do schematu. Ale z tego wynika, i nie można te- go dość mocno podkreślić, że ratun- ku przed schematyzmem szukać należy w wielkiej mierze w pogłę- bieniu świadomości ideologicznej twórcy.”

Broniąc pozycji aktualności w no- wej tematyce naszej literatury Kierczyńska mówi — „każda książ- ka atakująca, choćby w sposób wysoce niedoskonały, w pewnej mierze schematycznie, jakiś nowy wycinek rzeczywistości, jest pozy- cją przydatną w rozwoju naszej li- teratury” — by wreszcie dojść do wysoce optymistycznego stwier- dzenia — „Papierowość postaci, ów najdotkliwszy owoc schematyzmu znikać będzie w miarę, jak będą krzepły talenty pisarzy, stawiają- cych na razie pierwsze kroki, jak do przeszłości przędzie tak wielka dziś jeszcze przewaga liczebna pi- sarzy inteligentnego pochodzenia, o wąskim zasięgu doświadczenia społecznego, jak będzie się rozra- stało społeczne doświadczenie pi- sarza w ogóle...”

Pomijając drobniejsze fragmen- ty polemiczne omawianej wypo- wiedzi z cytowanym wyżej arty- kułem Flaszena, zatrzymać się warto nad kilku uwagami doty- czącymi roli krytyki w kształtowa- niu nowej literatury powojennej. Czytamy: „Czy i o ile za niedoma- gania naszej literatury winę pono- si krytyka? Czy krytyka nasza jak chce Flaszem — hodzi i kultywu- je schematyzm? Sądze, że zarzut taki płynie w dużej mierze z pew- nej ahistoryczności spojrzenia. Na- sza młoda, nowa literatura i kry- tyka ma już swoje wyraźne etapy historyczne: m. in. etap walki o większą dojrzałość ideologiczną i artystyczną... Nasza ostra, bezkom- promisowa walka ze schematyz- mem toczyć się musi w atmosferze uznania dla wszystkiego, co w książce jest częściowym choćby o- siągnięciem... Można i trzeba być wrogiem schematyzmu, byle nie przenosić tej wrogości na obciążo- ną owym schematyzmem literatu- rę, byle widzieć w niej obok róż- norakich, często dość grubych błę- dów, nowe wartości, jakie bez- sprzecznie posiada, zrodzona z a- firmacji nowej rzeczywistości i z walki o nią”.

Nie miejsce tu na zabieranie gło- su w dyskusji Flaszem — Kierczyń- ska, zadaniem przeglądu prasy jest przede wszystkim relacjono- wanie faktów, niemniej jednak raz jeszcze podkreślić należy wagę artykułu Ludwika Flaszena — ar- tykułu, który mimo ostrej kryty- ki, z jaką spotkał się na łamach „Nowej Kultury” dzięki wadze te- matu, jaki porusza, wielostronno- ci ujęcia, doskonałego zilustrowa- nia twierdzeń i przekonującymu typowi dowodów, zmusi niejedne- go pisarza do przeanalizowania swych osiągnięć twórczych, swojej drogi literackiej.

G. K.

Józef Szczawiński